



N^o 40.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 3 paździer. 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Sen Iwana Czarnego (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd teatralny. — Przegląd polityki zagranicznej. — Plaskorzeźba na wikaryi św. Michalskiej w Lublinie (z drzeworytem). — Żebracy z okolic Mołodeczny (z drzew.) — Codzienny pracowity żywot Onuferka, szkice F. Kostrzewskiego (z sześcioma drzeworytami). — Przejazd przez szczyty Kaukazu, skrzyłił Kaźmirz Łapczyński. — Korespondencya od redakcyi. — Kaplica Ogrójcowa (z drzew.) — Szachy. — Rebus. — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). — Rozmaitości. — Nieśmiały, komedia w jednym akcie, według Edwarda Paillerona: Mur mitoyen, ułożył wierszem Kaźmirz Kaszewski (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Pierścień Amazysa, powieść p. Owena Meredith'a (dokoń.)

SEN IWANA CZARNEGO. (*)

Niebo spogląda zagniewaną
[twarzą,
Wicher rozpacznie po gó-
[rach się miota,
Ogniste gromy wierzchołki
[skał rażą,
Biją upornie jak w fortecy
[wrota.

(*) Podanie ludowe o sławnym Iwanie Czarnym, księciu Czarnej góry (od 1449 do 1490), któremu wielkie czyny bojowe i nieszczęścia zjednały imię nieśmiertelnego bohatera narodowego. Pieśń czarnogórska powiada: że Iwan Czarny śpi w grocie zamku Obod, w objęciach wili, — że kiedyś się zbudzi i pójdzie na czele ludu zdobyć Adryatyk. Z podaniem tém łączą się inne, wielce oryginalne i urocze, o wilach czarnogórskich. Pochodzenie ich ma być następujące. Adam, po wypędzeniu z raju, miał trzydziestu synów i tyleż córek, a kiedy raz Bóg przyszedł spytać go jak mu się dzieje, biedny Adam, zawstydzony że ma tyle córek niezdolnych do oręża, (poezya ludowa nadaje mu charakter Czarnogórcy) ukrył trzy przed Panem. Bóg, karząc go za kłamstwo, zabrał mu te trzy najpiękniejsze i kazał im błądzić na wieki w powietrzu; a że to były niewinne dziewczęta, później dobre duchy, więc pozwolił im wlecieć niewidzialnie do arki Noego, i tak nie przepadły w czasie potopu. Biedne wile długo snuły się po świecie, dopóki nie spoczęły w Czarnej górze, gdzie im się najbardziej podobało i gdzie już nazawsze zostały. Wile bywają tajemnie w kościele, pomagają w bojach z poganami i uczestniczą w każdej poczciwej sprawie. Mieszkanie ich na wierzchołku gór, a jedna pilnuje ciągle snu Iwana.



Układ i rysunek Kossaka.

Na hasło czeka piorun w ka-
[żdój chmurze,
Istny dzień sądu huczy
[w Czarnój górze.

Starcy zasiedli około ogni-
[ska,
O dawnych bojach gawędzą
[ochoczo,
Do krwawych wspomnień
[oko ogniem błyska,
Palną broń czyszcza, długie
[noże toczą;
A dalej młodzież coś szepcze
[do siebie,
A piorun węzłem snuje się
[po niebie.

W zamku obodzkim, w nie-
[dostępnej grocie,
Śpi rycerz stary w objęciach
[dziewicy;
Czasem się zbroja zaświeci
[jak w złocie,
Tak ją malują ognie błę-
[skawicy.
Gdy grom zaryczy po chwi-
[lowej głuszy,
To siwy wojak lekko się
[poruszy.

A marzącemu we snach
[cztery wieki,
Snadź że już ciężko na dzie-
[wiczem łonie,
Bo chciałby zwarte rozsu-
[nąć powieki
I wnieść do góry opuszczo-
[ne dłonie.
Ledwie podjęta ręka na
[miecz pada,
Dziewczę go tuli i anielsko
[gada:

„O śpij ty jeszcze, śpij,
[Czarny Iwanie!

Od piersi mojej nie odrywaj czoła,
Bo to nie ludu twojego wołanie,
To burza lucz i zalewa sioła.
O śpij, Iwanie, śpij-że książkę jeszcze!
Nie szmer to morza, lecz obłoczne deszcze.
O śpij, Iwanie! Kiedy czas uderzy,
Ja cię obudzę na zwycięskie boje,
I lud się wierny ze wszystkich gór zbieży,
I miecze błysną i zachrzeszczą zbroje.
Gdzie każesz — pójdzie śród zapału, krzyku;
Śpij-że jutrzejszy panie Adryatyku!

Karol Piętkowski.

Kronika tygodniowa.

Nadeszła straszna chwila przeprowadzki i porządków domowych.

Już Żółkowski ojciec w Momusie zauważył, że największa chyba liczba domów należeć musi do św. Jana i św. Michała, co chwila bowiem czyta się na kartach przed bramami wywieszonych: „Do najęcia od św. Jana, do najęcia od św. Michała...”

W każdym razie smutny to termin w ładzie gospodarczym, bo ci nawet którzy przeprowadzania się unikają, nie mogą jednak uniknąć poprawiania i podlepiania pieców, opatrywania drzwi i okien, porządkowania pokojów i t. p.

Wprawdzie cały ciężar wszystkich tych niedogodności spada na pleć żeńską, najwięcej jednak na nie pleć męzka wyrzeka.

Dziwna rzecz, mężczyźni, którzy z samej natury rzeczy wytrwali być powinni, daleko niecierpliwiej od kobiet znoszą wszelkie niedogodności życia. Wszystko to ich drażni, nuży, przyprowadza do złego humoru. Zwykle więc wynoszą się z domu, zostawiając paniom ciężki obowiązek zaprowadzenia porządku w mieszkaniu.

Owóż słyszeliśmy, że jeden z młodych autorów ma zamiar napisać komedijkę pod tytułem *Porządki domowe* i ciekawimy doprawdy jak się wywiąże z tego zadania.

Każdy przedmiot jest zresztą dobry, byle go umieć użyć, a u nas, z powodu małej liczby oryginalnych sztuk, tyle stron życia jest jeszcze nietkniętych...

Tutaj może będzie stosowna pora obwieścić czytelnikom, że i dla Tygodnika Illustrowanego nastąpiła chwila porządków domowych.

Ciasno nam w dotychczasowym naszym pomieszczeniu, zamierzamy więc przenieść penaty w inną stronę miasta, a stanie się to przy znacznym rozszerzeniu drukarni i udogodnieniu wszelkich warunków materialnego dobrobytu pisma, które rozszerzającym się ciągle zakres jego działalności czyni koniecznym.

Powiemy wam nawet w wielkiej tajemnicy, że do wprowadzenia w ruch prasy pośpiesznej, na której Tygodnik się odbija, a która olbrzymią swoją postawą wyróżnia się pomiędzy wszystkimi siostrzycami warszawskimi, myślimy zastosować najnowsze ulepszenia za granicą obecnie używane.

Rzeczywiście, w ostatnich latach postęp sztuki drukarskiej szybkimi szedł krokami, i nie mogło być inaczej, przy takim namnożeniu się w Europie peryodycznych publikacji, które odbijają się na krocie tysięcy egzemplarzy. Gdyby do tej olbrzymiej pracy chciano zastosować środki dawniej będące w użyciu, niepodobniestwem byłoby wydołać w ciągu miesiąca temu, co dziś w kilka godzin z wszelką łatwością się wykonywa.

Wszakże starzy zecerzy pamiętają jeszcze, że pisma peryodyczne u nas, których liczba prenumeratorów nie dochodziła wtedy tysiąca, przez cały dzień prawie musiały się odbijać na ręcznej prasie.

Dzisiaj każda już drukarnia w Warszawie posiada maszynę pośpieszną, a w niektórych zakładach stoi ich po kilka rzędem jedna za drugą. Dotychczas jednak, oprócz drukarni Orgelbranda, która posiada maszynę parową, wszystkie te prasy pośpieszne wprawiane są w ruch rękami ludzkimi, a niektóre z nich potrzebują ciągłej pracy przy korbie siedmiu lub ośmiu robotników.

Otóż oprócz pary, istnieje jeszcze inny sposób wprowadzania w ruch maszyn drukarskich; należy jednak wiedzieć czy nowy ten wynalazek praktyczne wydaje rezultaty, a wydawca Tygodnika, który umyślnie w tym celu udał się za granicę, dokładne zapewne o tém zbierze wiadomości i nie omieszka zastosować u siebie tego ulepszenia, jeżeli ono rzeczywiście dogodnym się okaże, zwłaszcza dla publikacji takiej jak Tygodnik Illustrowany, publikacji wymagającej podwójnej staranności w odbijaniu na prasie.

Cierpliwości więc trochę, a dowiecie się dokładnie o wszystkiém. Gotowiśmy nawet, jeżeli rzecz pomyślnie wypadnie, sportretować tego mechanicznego przybysza, który dla waszej służby będzie musiał odbyć tak daleką i uciążliwą podróż.

Przyszły tydzień niemało zajmujących przyniesie nam nowości.

Więc najprzód benefis Królikowskiego, na które to przedstawienie, jak o tém donosiliśmy w przeszłym tygodniu, bilety w znacznej części już są rozkupione.

Najpiękniejszą może nagrodą dla długoletniej pracy i poświęcenia się dla sztuki benefisanta, jest skwapliwość z jaką publiczność warszawska pośpiesza złożyć mu ten dowód ogólnego uznania. Jesteśmy przekonani, że gdyby sala teatru Wielkiego była dwa razy większą aniżeli obecnie, nie zbrakłoby do zapełnienia jej chętnych widzów.

Jutro znów wystąpienie pani Modrzejewskiej, która nieodwołalnie już postanowiła pierwszy raz ukazać się Warszawianom w dramie *Adryana Lecouvreur*.

Doświadczamy się że redakcja Zorzy postanowiła wzmocnić się nowym współpracownictwem. Obecnie pismo to z Opiekunem domowym zastępuje liczniejczy niż kiedyś poczet publikacji przeznaczonych do użytku uboższych warstw ludności krajowej.

Ale jeżeli zadanie takiego pisma jest trudne, (a przynajmniej redakcji Zorzy, że dotychczas z wielką usilnością starała mu się zadość uczynić) to utrzymanie materialne stokroć trudniejsze.

Ludzie czytają jeszcze u nas dość chętnie, to tylko wymódz na nich trudno, żeby płacili za czytanie. Dość u nich kiedy książkę albo pismo wezmą do ręki, jeżeli książka albo pismo darmo im przychodzi. Ale żeby płacić jeszcze za to czytanie... tego żadnym sposobem przypuścić sobie nie mogą do głowy. I długie lata zapewne jeszcze czekać wypadnie, zanim wyobrażenia pod tym względem ustalą się w niższych klasach ludności tutejszej.

I zresztą jak się tu dziwić temu, kiedy oświeczone warstwy społeczne prawie tak samo myślą. Każdemu się zdaje że łaskę czyni piszącemu, jeżeli to co on mu w druku przedstawia, zechce przeczytać i ocenić. Zmysł krytyczny każdemu z nas jest wrodzony, więc rozbiieramy i ganimy według fantazy biędaków, którzy jeli się trudnego pisarskiego rzemiosła, a wynikiem tych rozumowań naszych jest zawsze to, iż te kawałki zadrukowanego papieru niewarte są dobrych pieniędzy jakie za nie płacimy.

Jeżeli więc z oświeczoną klasą sprawa tak trudna, cóż dopiero być musi z tymi, których za mniej oświeconych przywykliśmy uważać. Czytanie jest dla nich nowością, do której się dopiero przyzwyczaić muszą, bo przebojem prawie trzeba było w nich wyrabiać usposobienie do tego posiłku duchowego. Czytelnie założone przy ochronach prosperują, ale na pismo ludowe trudno znaleźć prenumeratorów. A po wsiach jeszcze trudniej. Włościanin przyjmie wprawdzie jeżeli mu co wpadnie w rękę, jeżeli kto o nim lub za niego pomyśli, ale oprócz rzadkich wyjątków, sam nie zapłaci, uważa to bowiem za marnie wyrzucony pieniądź.

Oprócz więc ogromnego zasobu pracy i cierpliwości, w jaki redakcja takiego pisma jak Zorza uzbroić się musi, trzeba jej koniecznie zasobów materialnych, żeby mogła czekać na zmianę usposobienia pod tym względem. A zmiana ta przyjdzie niewątpliwie, bo z przyzwyczajaniem się do czytania, wzro-

śnie i potrzeba posiłku duchowego, a zarazem konieczność zaspokojenia tej potrzeby. Dziś należy tylko starać się o dobór przedmiotów popularnej treści, najprzystępniej obrobionych. I to głównie trzeba mieć na uwadze, że piszący nie zniżać się do czytelników, zwłaszcza w formie, ale owszem podnosić ich do siebie powinien.

Tłumaczymy się jaśniej.

Jesteśmy bezwarunkowo przeciwni wszelkim utworom pisanym tak zwanym chłopskim językiem, z wyrażeniami nieraz żywcem wyrwanymi z ust ludu, ale grzeszącymi przeciwko duchowi mowy naszej. Dobrze to w powieściach, albo nawet w utworach scenicznych dla oświeceniowych klas przeznaczonych, kiedy idzie o nadanie tym utworom barwności i kolorytu miejscowego; ale lud własnych sposobów wyrażania się nie będzie się uczył od pisarzy, bo je zna dokładniej od niego. Za to zrozumieć doskonale, kiedy kto się poprawniejszą mową odzywa do niego i nawet w danym razie skorzysta na tém. A tu właśnie o tę korzyść idzie. Trzeba kształcić w duchu i formie; to jest prawdziwe zadanie pisarzy ludowych i na tej drodze tylko rzeczywistej popularności dobieć się oni mogą.

Smutno gdy śmierć podcina młodą latorośl, bujnie strzelającą ku górze, gdy zabiera świeże siły, zasób życia i marzenia.

Opada głowa, która przed chwilą jeszcze wznosiła się dumnie a ochoczo pod pierwszymi uderzeniami życia — i oto pryska bańka mydlana nadziei, przyszedł robotnik Pański odchodzi, grób nowy wyrasta i krzyż nad nim znaczy tajemniczość wyroków Bożych.

Zapytasz, czytelniku, co znaczą te smętne myśli?... Przyszły one z wiadomością o śmierci Stanisława Przewłockiego, ucznia tutejszej Szkoły Główniej, dwudziestoletniego młodzieńca, który d. 17 września r. b. w Gałęzowskiej Woli, skutkiem nieostrożnego objęcia się z bronią, utracił życie.

Żył krótko, ale już działał. Można się było po nim spodziwać człowieka, a oto pozostał proch.

Należał on do grona tej młodzieży, która poważnie patrząc na życie, umie sobie wytknąć jego cel, a co najważniejsza, iść do tego celu z wytrwałością i odwagą. Umiał ochotnie chwycić każdą sposobność poświęcenia się dla drugich, gorąco brać do serca wszystko co szlachetne i miłości godne. Zasłużył też na wspomnienie, chociaż życie jego było przelotem spadającej gwiazdy.

Kursa w Instytucie muzycznym już się rozpoczęły. O pożyteczności tego zakładu najlepiej sądzić po skutkach, a przez zakres swojego trwania dotychczasowego, Instytut niemało się przyłożył do podniesienia sztuki krajowej. Głównie należy tu zwrócić uwagę na zdolnych organistów, których dotychczas zupełny prawie był brak u nas, a których z każdym rokiem nowy kontyngens dostarcza nam jedyna w kraju wyższa szkoła muzyczna. Niektórzy wychowawcy Instytutu zyskali już sobie zasłużony rozgłos za granicą. Między innymi przytoczyć tu możemy pana Górskiego skrzypką, o którym już kilkakrotnie wspominaliśmy i który pierwsze swoje muzyczne wykształcenie winien jest Instytutowi. Gazety niemieckie bardzo pochlebnie wspominają o tym artyście, a wiadomo że recenzenci tych gazet nie są w ogóle pobłażający dla cudzoziemców. Łatwiej we Francji, za pomocą postronnych względów, wyrobić sobie przychylną dziennikarską opinią, aniżeli w Niemczech. Należy spodziwać się, że i w tym nowopoczynającym się okresie, działalność Instytutu okaże się równie skuteczną i użyteczną dla sztuki krajowej.

Przegląd teatralny.

„Adryana Lecouvreur,” dramat w pięciu aktach przez Eugénie Scribe i Ernesta Legouvé. Wystąpienie pani Palinskiej. — „Piękność uderzająca.”

Adryana Lecouvreur, dramat dobrze znany na scenie naszej, kilkakrotnie wznawiany, nastroczał pole

do różnych wystąpień. Ostatnio pani Ristori odgrywała rolę Adryany, a była to jedna ze sztuk, które słynna tragiczka grała z upodobaniem, chociaż to niezawsze powodzenie pociąga za sobą.

Sam powód już napisania tej sztuki, znaczenie jej określa. Panna Rachel chciała występować w dramacie, i dwóch akademików francuzkich złożyło się na dogodzenie temu jej żądaniu: Legouvé wynalazł przedmiot, Scribe dał obrobienie. A ponieważ wyłącznie na pannę Rachel rachowano, sztuka wyszła przyczepiona do jednej roli, jak malutki korpus do głowy ogromnej. Autorowie źle na tym nie wyszli, panna Rachel bowiem uolbrzymała tę postać, i dopóki ona żyła, Adryana stale utrzymywała się w repertoarze, jako przeciwstawienie Fedry i Bereniki i żywy dowód, że dla wielkiego talentu wszelki rodzaj jest dostępnym.

Ristori, w ślad za Rachelą, przyswoiła sobie Adryanę; ale posągowa postać przedstawicielki Medei, rozsądzała misterne ramki Skrybowskiemu dramatu. Nie na tym polu mogła ona walczyć o lepsze z genialną francuzką artystką.

Nie widzimy powodu powtarzania treści tego dramatu, dobrze już każdemu znaną. Przeprowadzenie przez różne fazy głównej dramatycznej postaci, następcza tu dla artystki pole niemałe. Scribe, mistrz nielada w wiązaniu scen i uwydatnianiu efektowych sytuacji, chciał tu aktorce następczy pole do popisu i dokazał tego. Widzimy ją ukorzoną przed ołtarzem sztuki w scenie z suflerem Mionnetem, gruchającą miłośnicie z Maurycym, wybuchającą gniewem zazdrosnej lwicy w salonie wielkiej damy i wreszcie konającą przez cały prawie akt piąty.

A na to konanie właśnie nagromadzono wszystko czego sztuka dostarczyć może. Jest tam i obłęd, i testament, że tak powiemy, talentu, wypowiedziany w klasycznych wierszach, i ostatnie pożegnanie kochanki, i stopniowy postęp działania trucizny, na którego dokładne uplastycznienie artystka osobne prawie studia musi odbywać.

W grze pani Palińskiej widocznie przebija się długie i sumienne obmyślenie roli. Przedewszystkiem artystka ta samoistna nie pragnie nikogo naśladować, unika nawet wszelkiego punktu zetknięcia się z poprzedniczkami, choćby wspomnienie gry której z nich gwałtem jej się narzucało.

Nie zgadzamy się ze zdaniem niektórych recenzentów, żeby scena z czwartego aktu, w której Adryana, deklamując ustęp z roli Fedry w salonie księżny de Bouillon, znajduje sposobność rzucenia w twarz rywalce całego tajonego uczucia zemsty i nienawiści wrzającego w jej sercu, — żeby ta scena miała grzeszyć przesadą trywialną prawie. W takim położeniu kobieta, na jakimkolwiek społecznym znajduje się stanowisku, przestaje już panować nad sobą. Gniew rozsadza piersi, w słowie, w geście, w rysach twarzy gwałtowność i oburzenie malują się dosadnie, tym bardziej jeżeli tą kobietą będzie artystka, przyzwyczajona na scenie do gwałtownych wybuchów namiętności, a wkładająca życie całe w uczucie które nią owładło. Niema tu łokcia którymby zmierzyć można granicę pomiędzy stanami społecznymi, pozostaje tylko kobieta, kobieta namiętna, ognista, zagniewana, która postanowiła się zemścić i dokonywa tego, bez względu na otoczenie w jakim się znajduje.

Scenę konania odegrała pani Palińska z drobiazgową sumiennością, cieniując dokładnie wszystkie przez autorów nagromadzone tam efekty.

Rola Mionnet'a dla Rychtera, to dawny tryumf utalentowanego tego artysty, wznawiany z każdym pojawieniem się Adryany na scenie.

Żółkowski, jak zawsze, w roli księcia de Bouillon odnajduje dworską tradycją dawnych panów francuzkich, a księżna, pani Niewiarowska, usiłuje chłodem salonowym pokryć postać umitrowanej kurtyzany.

Nagromadzenie całego efektu na rolę Adryany, utrudnia zadanie artyście grającemu rolę Maurycyego, który z konieczności pomocniczą tylko i dość niewyraźną staje się postacią. Dlatego może trudno było panu Świeszewskiemu uwydatnić rysy tej postaci, tak wyraziście malującej się w historii XVIII-go wieku.

Pan Stolpe z wszelką salonową przyzwoitością odegrał rolę Chazeuil'a.

„Piękność uderzająca,“ jest to pół godzinki ciągłego śmiechu, do którego pan Chomiński jako lokaj i pan Damse jako pan, następczą co chwila sposobność. Idzie rzecz o policzki wymierzone przez panią domu, panią Figarską, a mylące się ciągle w adresie. Na te policzki, a raczej na zapłatę która ma być wynagrodzeniem za nie, spekulują lokaj i subretka. I spekulacja na dobre im wychodzi, bo otrzymują w końcu wyposażenie. Jest to sposób zarobkowania, który w pewnych razach nie wyłącznie bywa specjalnością lokajów i subrettek.

Wacław Szymanowski.

Dnia 17 (29) września o godzinie 11-jej wieczorem, JEGO CESARSKA MOŚĆ raczył przybyć z zagranicy do Warszawy, w towarzystwie J. C. W. WIELKIEGO KSIĘCIA ALEKSIEJA ALEKSANDROWICZA, i udał się wprost z banhofu, gdzie prócz J. C. W. W. K. MIKOŁAJA MIKOŁAJEWICZA, oczekiwali ministrowie i cała świta, dla powitania NAJJAŚNIEJSZEGO PANA, do pałacu Belwederskiego. Na całej drodze JEGO CESARSKA MOŚĆ witany był przez uliczne tłumy mieszkańców, objawiających swą radość z przybycia ukochanego MONARCHY, nieustającymi okrzykami „ura.“ Całe miasto uroczyście było uiluminowane.

Przegląd polityki zagranicznej.

2 października.

Telegram madrycki w d. 29 z. m. przyniósł nader ważne wiadomości. Zwycięskie powstanie ustanowiło juntę tymczasową, która ogłosiła natychmiast: 1) upadek dynastji, 2) głosowanie powszechne, 3) powołanie zgromadzenia narodowego do ułożenia konstytucji. Depesza z Bayonny z d. 30 z. m. dodaje, że królowa Izabella przejedzie przez to miasto o godzinie 10 i pół z rana i pozostanie we Francji. Okazuje się też dziś, że królowa nie mogła liczyć nawet na wybranego przez siebie ministra, Concha bowiem wejść miał w układy z powstańcami i opuścić Burbonów. Z tym wszystkiem, pomimo spokojności panującej w Madrycie, prowincya wre jeszcze powstaniem, które głównie wojskom królewskim zawdzięcza swe powodzenie. Wysłany przeciw marszałkowi Serrano generał Novaliches, przepadł bez wieści i zapewne złączyć się musiał z powstańcami. Co do floty, to nawet ostatni okręt stojący pod San Sebastian ogłosił swe pronuncjamento. Wszystkie te wszakże szczegóły tracą na znaczeniu w obec powyższego telegramu z Madrytu. Powstaje więc obecnie pytanie, jakie będą następstwa tego groźnego a zwycięskiego ruchu. Czy zgromadzone kortezy powołają na tron dynastją bragancką i dopną dawno już istniejącego marzenia o jedności półwyspu iberyjskiego? Czy Prim i inni ambitni dowódcy popierać zechcą Rzeczpospolitą w widokach własnego wyniesienia się? Wszystko to gęstą pokryte jest zasłoną; zdaje się nam wszakże, iż w razie rzeczywistego oddalenia Burbonów od tronu, najwięcej powodzenia mieć może idea jedności pod berłem domu portugalskiego.

Wypadki hiszpańskie odwróciły nieco uwagę dzienników francuzkich od spraw niemieckich, lecz nie wykorzeniły pogłosek pojawiających się obficie na każdej szpalcie dziennikarstwa paryzkiego. Po zaprzeczeniu urzędowem nadesłanem do gazet i zbijającym pogłoski o mniemanym tajemnym zjeździe cesarzowej Eugenii z królową Izabellą w San Sebastian, dzienniki półurzędowe występują obecnie przeciw rozpuszczonym wieściom o blizkiem zwołaniu sejmu i ważnych rozporządzeniach. Według nowiniarzy, cesarz Napoleon miał po powrocie z Biarritz zawiesić ustawę o wolności druku i stowarzyszeń, w przewidywaniu starcia z Prusami. W tymże, jak utrzymują, celu przyspieszono organizacją gwardji narodowej ruchomej. Nie potrzebujemy wykazywać ile

jest przesady w tych pogłoskach, które zresztą uznane zostały przez France i Patrie jako zupełnie zmyślone. Jour. des Deb. powtórnie nalega na rząd francuzki, aby wszedł w ścisłe związki z Belgią i Holandją i nie ufał tym, którzy go zapewniają że Francuzi znajdują współczucie na południu Niemiec. W dniu 27 z. m. zmarł w Strasburgu na apopleksyę hr. Walewski, wracający z Munichu. Nieboszczyk zajmował jedno z pierwszorzędných miejsc we Francji. Urodzony w Walewicach w dniu 4 maja 1804 r., hrabia dosłużył się w wojsku francuzkiem stopnia kapitana huzarów; następnie zajmował się literaturą i dziennikarstwem. W r. 1840 Thiers, będący wówczas prezesem gabinetu, wysłał Walewskiego z misją dyplomatyczną do Egiptu. W r. 1848 należał do składu ambasady francuzkiej w Buenos-Ayres; w r. 1849 był ministrem pełnomocnym we Florencji i Neapolu, a w r. 1854 ambasadorem francuzkim przy dworze angielskim. Po wyjściu z gabinetu p. Drouyn de Lhuys w 1855 r., cesarz Napoleon powołał Walewskiego na posadę ministra spraw zagranicznych, na której pozostawał przez cały przeciąg wojny wschodniej i przewodniczył obradom na kongresie paryzkim. W dalszym ciągu swęj karyery, hrabia Walewski został senatorem, następnie deputowanym i prezesem ciała prawodawczego, wreszcie znowu senatorem i członkiem rady tajnej.

Zamierzona podróż cesarza Franciszka Józefa do Krakowa i Lwowa odroczonej została. Zdaje się że postawa opozycyjnego stronnictwa na sejmie lwowskim wywołała niezadowolenie w najwyższych sferach. Namiestnik Galicji, hr. Gołuchowski, powołany telegrafem do Wiednia, podać się miał do dymisji. Następcą jego ma być podobno minister rolnictwa hr. Alfred Potocki, według innych generał Gablenz; lecz są to tylko pogłoski, pozbawione cechy urzędowej. Odrzucenie na sejmie lwowskim rezolucyj opozycyjnych i wybór posłów do rady państwa, wpłynął, jak mówią, na postanowienia gabinetu i sejm nie będzie rozwiązany. Jednocześnie z temi wypadkami nastąpiło w Wiedniu przesilenie ministeryalne. Prezes gabinetu, książę Carlos Auersperg, podał się do uwolnienia i otrzymał takowe dla słabości zdrowia. Zastępcą jego tymczasowym jest generał hrabia Taaffe, minister obrony krajowej. Mówią że cesarz austriacki ofiarował prezesostwo gabinetu baronowi Kellersperg, namiestnikowi Czech, lecz ten odmówić miał, z powodu że dwaj najzaciętsi przeciwnicy federalizmu, Herbst i Hasner, pozostają w ministeryum.

Ze Wschodu wciąż jeszcze donoszą o zamierzonym zajęciu Rumunii przez wojska tureckie. Gazeta Augsburska podaje korespondencją z Belgradu, zapewniającą że gubernator Bulgaryi robi przygotowania do przeprowadzenia się za Dunaj z silnym korpusem i znacznym parkiem artylerji. Z drugiej strony donoszą, że celem zażegnania burzy, baron Beust rozesał do mocarstw notę proponującą utworzenie komisji międzynarodowej i rozpoczęcie śledztwa w Rumunii. Z Krety zaznaczają istnienie powstania, bez podania jakichkolwiek w tym względzie szczegółów. Według wiadomości ze Wschodu, niebezpieczne starcie zaszło między chrześcianami i Turkami w Albanii.

Ostatnie depesze. Madryt, 30 września. Jutro odbędzie się głosowanie powszechne. Nowi urzędnicy mianowani. Lud uzbrojony. Prim i Serrano jutro przyjadą. Spokojność powszechna w Madrycie. Rząd ustanowił milicją narodową. Nowy rząd odebrał powinszowania od Anglików mieszkających w Madrycie. Powstanie w Barcelonie. Cheste uciekł do Francji.

Praga, 28 września. Z powodu zebrania w dzień śgo Wacława wiele osób aresztowano. W Hohenmauth zgromadził się meeting tak groźny, że aż wojsko wdać się musiało.

Paryż, 1 października. Według Presse, rząd tymczasowy hiszpański odrzuca formę republikańską.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

Płaskorzeźba na wikaryi św. Michalskiej w Lublinie.

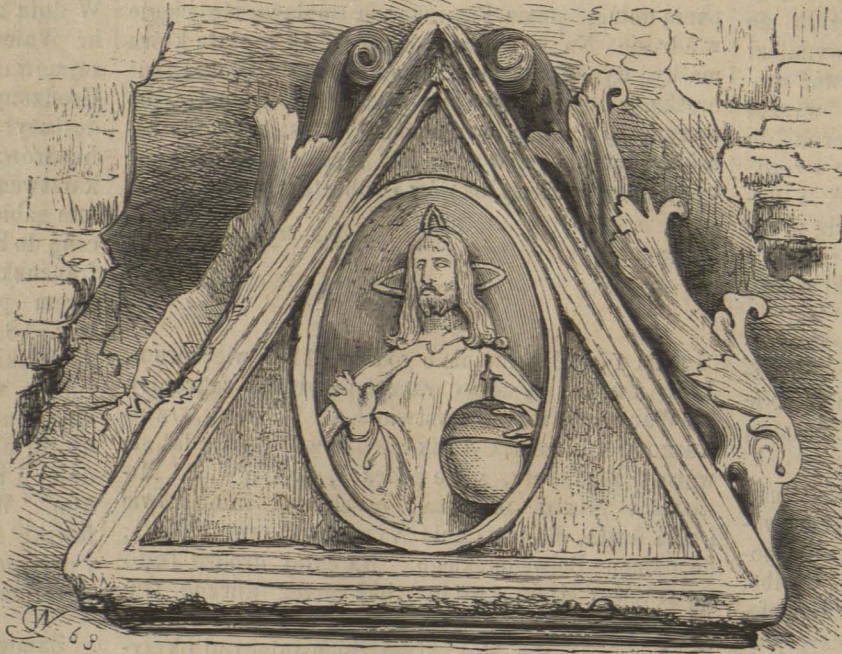
Kuryer Warszawski w 142 numerze bieżącego roku podaje z Kuryera Lubelskiego następującą wiadomość: „Rzeźba zdjęta z domu Nr. 110 przy ulicy Archidykańskiej w Lublinie, uchodząca dotąd za popiersie Leszka Czarnego, znajduje się obecnie w kościele katedralnym. Nie jest to jednak biust owego króla, ale starożytne dzieło dłuta, przedstawiające figurę Chrystusa Pana w trójkątnych ramach. Ramy te mają przystrojenie w kształcie esów, surowej roboty. Rzeźba ta wraz z ramami wykuta z białego piaskowego kamienia.“

Jest to więc nowy spadek jaki dzisiaj katedra lubelska po dawnej farze odziedziczyła, (*) spadek cenny o tyle, że płaskorzeźba, której przerys dokonany w r. 1853 tu podajemy, jest zabytkiem bardzo odległej epoki. Wiadomo że pierwotny farny kościół św. Michała fundowany był przez Leszka Czarnego, na pamiątkę walnego zwycięstwa odniesionego przez tego króla nad Jadźwingami. Przypuścić możemy że jednocześnie z kościołem wymurowano probostwo, a nade drzwiami onego umieszczono zwyczajem owych czasów rzeźbioną tablicę kamienną, z wyobrażeniem Zbawiciela błogosławiącego światu. Taki też jest przedmiot płaskorzeźby w mowie będącej. Chrystus Pan, którego głowa otoczona potrójnymi promieniami, lewą rękę opartą ma na globie uwieńczonym krzyżem, prawą zaś (u której trzy palce: wielki, wskazujący i środkowy, są utracone) do błogosławieństwa wzniesioną trzyma. Dom probostwa farnego z czasem został przeznaczony na mieszkanie wikaryuszów i otrzymał miano wikaryi; płaskorzeźba zaś zapewne dopiero po rozebraniu rozpadającego się w gruzy kościoła, przez nieświadomość ludności miejskiej, otrzymała miano popiersia fundatora katedry.

Zaiste, tylko grubej nieświadomości, czy lenistwu umysłowemu przypisać można błąd podobnego rodzaju; na pierwszy bowiem rzut oka, pomimo iż się, zwiędzając tablicę, przystępowało do domu wikaryackiego z uprzedzeniem i niemal pewnością znalezienia popiersia Leszka, niepodobna było ani na jedną chwilę wątpić, kogo płaskorzeźba przedstawia.

Zabytek to dawny, mogący sięgać końca XIII wieku; świadczą o tym dwa potwory w ornament zamieniające się, które zdobią dwa boki trójkątnej ramy. Używanie potworów do ornamentacji w XIII wieku było w całej pełni rozwoju; zakrój zaś liści o téjże epoce świadczy, niemniej sposób wykonania sa-

miej postaci Zbawiciela, szczególnie układ i rzeźbienie włosów. W r. 1853 rzeźba ta, oprócz uszkodzenia palców i nosa głównej postaci i utraconego jednego potwora (delfina) od dołu z lewej strony, jak to rysunek przedstawia, zresztą zachowana była



Płaskorzeźba na wikaryi św. Michalskiej w Lublinie

w całej czystości swojego pierwotnego charakteru. Jak na owe wieki odległe, jest to praca wytworna, piękna, zasługująca na staranne zachowanie, a nade wszystko na to, aby ręka dzisiejszych napra-

Żebracy z okolic Mołodeczny.

Ponętny to chleb żebaków, a łatwy, bo próżniacki.

Ztąd żebractwo stało się rzemiosłem, a nawet wyuczonym i obmyślanym oszukaństwem. Ileż to kobiet nosi na rękę pożyczone dzieci, ażeby wzbudzić politowanie nad wdową i sierotą, ileż uczy je płakać i jęczeć, od urodzenia już kierując niemowlęta na żebraków-oszustów. Iluż ubogich umyślnie dzieci swoje kalęczy, w tém najmocniejszym przekonaniu, że przez to zapewniają im pewny kawałek chleba. Są całe rodziny, a nawet małe rzeszopolite żebraków, gdzie każdy bez wyjątku jest kalęką, a w Mirze Radziwiłłowskim jest nawet ulica co się nazywa *Starecja*, zamieszkaana wyłącznie przez tę klasę ludzi, uwolniona od wojskowej powinności, podatków rządowych i wszelkich obowiązków ziemiańskich. Między sobą oni tylko wchodzą w związki małżeńskie, ze swojego grona wybierają starszynę któremu są posłuszni, a w wózkach małych rozwożą po okolicy wykrzywione i okalęczałe straszdyła. Pełne ich są cmentarze kościelne, odpusty i święte miejsca, kiermasze i miasteczka targowe, zewsząd zwożą do swojej gminy obfity zapas żywności i pieniądze, żyjąc nie tylko wygodnie, ale i dostatnio. Często nawet ci mniemani paralitycy tańczą między sobą przy skrzypce; ślepi w rzece łowią ryby na wędkę, lub zbierają grzyby i jagody; niemy opowiada kolegom swoim, jak zgrabnie wyludzał jałmużnę od jakiegoś ekonomowej, co miała głuchoniemego syna, — i tak wiek swój cały pędzą spokojnie i wygodnie.

Na jednej z takich uroczystości dorocznych i kiermaszu z nią połączonym, wszedłem na cmentarz kościelny, gdzie od wrót aż do babinca siedziało kilka rzędów żebrzącego ubóstwa. Gwar był dziwny. Część ich śpiewała nabożne pieśni; część rozmaitemi głosami i pod różnymi pozorami dopominała się od idących na mszę św. jałmużny, część znowu mruczała ciągle jakieś między sobą wymyślenia i kłótnie. Ale nabożeństwo bynajmniej ich nie obchodziło; nie byli nawet zwróceni w tę stronę, gdzie przez drzwi otwarte zapalone światło na ołtarzach widać było, nie uchyłali głowy, słysząc dzwonek, lecz zato w świątyni Pańskiej ich gwar gorszący zagłuszał organ i śpiewy ludu.

Stanąłem na ustroniu, czytając niby napis na jakimś grobowym kamieniu, wistocie zaś chcąc przysłuchać się rozmowie tych świętobliwych grzeszników.

Baby dwie, które od początku uważałem że coś miały do siebie, coraz to zwawiej zaczynały sobie dogryzać.

— Potrzebna ty tu między nami? Przywlokła się z miasta licha wie czego i tylko pocziwym ludziom chleb darmo odbiera, powiedziała gruba i czerwona baba.

— Ja taka dobra jak i kto inny; odpowiedziała lepszym trochę okryta łachmanem, ale ohydna z powierzchowności żebraczka.

— A już my wiemy waszą pocziwość. Siedziałam i ja u Bosaczek przez lat dziesięć, to znam



Żebracy z okolic Mołodeczny (Podług rysunku A. Bartelsa).

wiaczów starożytności nie tknęła się tego dzieła sztuki.

W. G.

(*) Po skasowaniu jezuitów, kiedy katedra św. Michała przeniesioną została do pojezuickiego kościoła, wraz z innymi utensyliami kościelnymi przeniesiono i chrzcielnicę brązową bardzo starożytną, mogącą pochodzić z XIV wieku, napisem i płaskorzeźbami ozdobioną. Mosiężna pokrywa téj chrzcielnicy zakończona wyobrażeniem św. Michała archanioła, pokonywającego szatana. Pokrywa jest daleko późniejsza i może pochodzić z XVII wieku.

Codzienny pracowity żywot

ONUFERKA.

(Szkice Franciszka Kostrzewskiego.)



Pan Onufry budzi się codziennie skoro świt, około 10ej zrana.

was dobrze i pamiętam jak ty uróżowana elegantowałaś się z kawalerami.

— A tobie złość, więdmo ty stara, że na ciebie nikt nigdy nie spojrział.

Odwrociła się w inną stronę i dostrzegłem wówczas jej twarz, na której uciekający nos, wyglądał jak kiedyś w gęstej grochówce ugrzęźnię ogonek wieprzowy.

W Wilnie pomiędzy żebrakami jest nawet pewien rodzaj arystokracji. Typowe baby, jakby w poważnych stallach, siedzą podobne do kopy siana na trotuarach pod Ostrą Bramą. Twarze ich brunatno-burakowe, opończy z kawalków pstrych pozszywana, garnuszek z jedzeniem w jakiejś kuchni od rana nałożonem, różniam w rękę, okulary na końcu nosa. Mniej jednak bywają hałaśliwe aniżeli wiejskie baby, chociaż jedna z nich strasznie się rozwrzeszczała, gdy jej nastąpił na nogę jakiś młodzik ze szkiełkiem w oku, wracający z mamunią z zagranicy, a jako starannie wychowane paniątko powiedział: „Pardon baba.“

— Ty sam taki! patrzcie go, a jeszcze jakimi słowami łąje w kościele paskudnik ten! wytykając go palcem zawołała.

ustanku mroźnym wiatrem smagany.

We dwa tygodnie po Nowym roku, ze Stawropola pierwszy raz ujrzałem rozdwojony wierzchołek Elborusu, widać go bowiem dobrze, chociaż jest o 25 mil geograficznych odległy. Oczów nie mogłem od tego olbrzyma oderwać. Do gór ciągnęła mnie siła nieprzeparta; dopiero jednak w maju, w Ekaterynogradzie, los postawił mnie w ich obliczu. Cały straszliwy łańcuch usrebrzony śniegiem, gdziegdzie obłokami zadymlony, tysiącem rys i szczelin porwany, jak mur dźwignął się przedemną na niebie. Główny kaukazki gościniec, któregośmy



Na odpoczynek idzie do Saskiego ogrodu i nie kłania się znajomym, bo go to fatyguje.

Ludzie u was ohotnie niosą wsparcie ubogim, często nawet stan ich poetyzując; ale czasem niezłe jest spojrzeć na świat taki, jakim on jest rzeczywiście, nie zaś jakim byćby powinien.

E. T.

Przejazd przez szczyty Kaukazu.

skreślił

Kazimir Łapczyński.

Na Nowy rok 1846, wraz z sześcioma towarzyszami podróży, przybywszy z nad brzegów Wisły, wstąpiłem po raz pierwszy na ziemię kaukazką. Gdyby nie rogatka i nie herb prowincyi, niktby się granicy nie domyślił, gdyż na prawo i na lewo, przed nami i za nami, ciągnął się jednolity step bez końca, smutny w tej porze roku, całunem śniegu zasuty i bez



Następnie dla nabrania apetytu, udaje się do ogrodu Botanicznego, gdzie reguluje zegarek.

się od Donu stale pilnowali, zmierzał z Ekaterynogradu, przez Kapkaj czyli Władykaukaz, prosto na tę białą ścianę i przechodził śmiało przez jej szczyty, dążąc ku Georgii i Tyflisowi. Odbyć tę podróż gorąco pragnąłem. Chciało mi się czepiać ponad przepaściami, razem z przewodnikiem-gościńcem, przeciskać się przez Strabonowskie *Caucasiae pylae* w Dariału i wędzić się aż na śniegowe wierzchołki; ale los inaczej moją osobą rozrządził: kazał mi w Ekaterynogradzie zrobić pół obrotu na lewo, porzucić główny gościniec i ruszać stepem ponad Terekiem ku Kaspij-

skiemu morzu. Cieszyłem się, że przynajmniej morze zobaczę; ale nim do niego doszedłem, los w Kizlarze kazał mi znów zrobić pół obrotu na prawo i popchnął kumycką płaszczyną do północnego Dagiestanu. Tu oprowadził mnie po wszystkich skalistych drózkach i ścieżkach przepaścistych, zaznajomił z kaukazkimi febrami i pokazał mi morze, jego brzegiem wiódł przez Derbent aż pod same Baku. W Sumgacicie znowu pół obrotu na prawo — i przez Szamachę ruszyłem do Tyflisu. Ze stariej georgiańskiej stolicy pojechałem do Armenii, zkad wróciwszy, otrzymałem nareszcie od losu pozwolenie przejazdu przez szczyty Kaukazu, nie z północy na południe, jak tego pragnąłem w Ekaterynogradzie, ale z południa ku północy. I otóż — wyjechałem na szczyty wiecznymi śniegami okryte, czepiałem się nad przepaściami, przeciskałem się przez *Caucasiae pylae* starożytnych, a dorwawszy się do stepu w Kapkaju, popędziłem pocztową trójką do Ekaterynogradu, gdzie szczęśliwie po raz drugi stanąłem, podróż bowiem moja wokoło wschodniego Kaukazu trwała blisko lat 11.

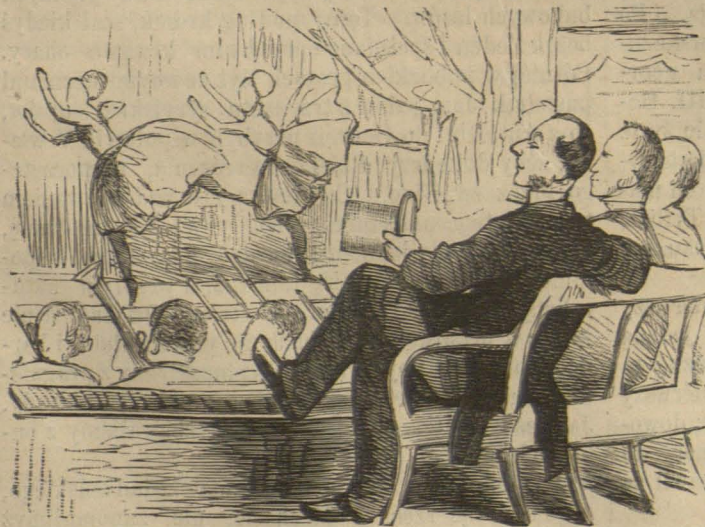
Pamiętnego dla mnie dnia 3 grudnia 1856



Potem spieszy do optyka, zobaczyć ile też stopni ciepła.

roku, we środę, w dzień św. Franciszka Ksawerego, o godzinie dziewiątej rano, odprowadzony zo rogatki tyfliskie i za przedmieście Were przez grono najbliższych znajomych, pożegnałem ich serdecznie, z wdzięcznością w sercu za wypróbowaną dla mnie życzliwość. i wraz z towarzyszem podróży, doktorem, siedliśmy na bryczkę pocztową. Wyzłica Kolba, moja piękna i rozumna georgiańska wychowanka, wskoczyła zgrabnie do wasagu; dzwonek w hołbli się odezwał... ruszyliśmy ku północy. Humory były różowe, bo doktor jechał żenić się, a ja wracałem do domu; że jednak *každy ma swego móla co go gryzie*, czyli, jakby w tym razie powiedział Iwanos, którego niezadługo poznamy, że *každy Ali smuci się o pilawie* (1), więc i naszych humorów różność pokryta

(1) *Ali* m Georgianie nazywają każdego Muzulmanina. *Pilaw*, ulubiona muzulmańska potrawa: ryż z baraniną, albo z suszonymi owocami.



Po obiedzie drzémka. Potem idzie do teatru, jeżeli jest balet, i wstąpiwszy na kolacyjkę...



znużony całodzienną pracą, rzuca się w objęcia Morfeusza, słuchając sprawozdania lokaja o nowinkach brukowych.

była delikatną szarzyną. Mólem doktora był zbyt krótki urlop, a mnie fatalnie ból piersi dokuczał. Żeby o nim zapomnieć, zacząłem rozglądać się po znajomiej okolicy, którą opuszczałem nazawsze. Jesień głęboka, drzewa odarte z liści, trawy wyschłe — mimo to ładna okolica. Na lewo ciągnie się skalista ściana, niewielka, ale dziwnie pięknie urozmaicona. Tuż pod skałami, to się wznosząc, to spadając, wije się wężykowato nasza droga, zabezpieczana prawie ciągle po prawej stronie silnymi kamiennymi ogrodzeniami, bo spadek gwałtowny, a w dole Kur z szumem do Tyflisu pośpiesza. Skały, droga i rzeka pilnują się razem, ani na krok nie odstępując od siebie. Za Kurem widać ćwierćmilową równinę, zamkniętą pasmem wzgórz równoległych od naszej drogi. Przed nami piętrzą się coraz dalsze łańcuchy gór; na najdalszym planie, o mil 14, biegnie główny kaukaski grzbiet, do którego właśnie z niecierpliwością podążamy.

Dwukołowe, skrzypiące arby, zaprzężone bawołami, wymijają nas co chwila. Wiozą one zboże, żeby Tyflis z głodu nie umarł. Czasem jeździec w narodowym ubiorze, na krótkich strzemionach, obok nas się przesuwa; czasem rozstępuje się przed nami stado bydła na rzeź do miasta pędzone; najczęściej jednak mijamy osiołki obładowane węglami. Ruch na drodze znaczny; duchany czyli georgiańskie oberże częste; wesoło, bo każda gromadka mijających nas wieśniaków zwykle chóralną, grmiącą pieśnią budzi echa okoliczne.

Dojechalśmy do Aleksandersdorf'u, jedną z dziewięciu zakaukaskich niemieckich kolonij. Kur oddziela nas od tej porządnie zabudowanej, monotonnej siedziby Wirtemberczyków. Długa, prosta ulica, po obu stronach domy jednakowe i w równych odstępach ustawione, żółty kościół — i koniec. Z dalekich stron przybyszom służy georgiańskie powietrze; niektórzy już domy pokupowali w Tyflisie. Główne zyski z winnic ciągną, co się w dole pod wsią na zarzecz rozsiadły.

Już Aleksandersdorf za nami. Dojeżdżamy do wsi georgiańskiej Digomi, sześć wiorst od Tyflisu odległej, położonej na naszym brzegu Kuru, to jest na prawym. Skały odsunęły się od drogi, rzeka także, i mamy przed sobą dość obszerną nadkurzańską dolinę, *digomskię polem* zwaną; właściwiej byłoby nazwać ją *połem przepiórek*, bo ich tu w lecie tyflisy myśliwi po kilkaset dziennie czasem biją, a mimo to nigdy ich nie zabraknie. I mnie i mojej Kolbie każdy krzaczek, każdy zagon był tu wymienicie znany. Kolba zdziwiła się niepomału, kiedyśmy, nie zatrzymując się, ominęli Digomi.

Ale to digomskie pole nietylko z przepiórek jest słynne; ma ono głośniejszą sławę, i to nie wczorajszą, nie stuletnią, nie kilkowiekową, ale współczesną Aleksandrowi Wielkiemu. Według starych kronik georgiańskich tak rzecz się miała. W czasie zawojowania Persyi przez macedońskiego zdobywcę, Georgia zajęta została przez Greków. Azon, ich dowódca, zamieszkał ówczesną stolicę Iberyi Mcchet, i zarząd cudzoziemski w całym kraju zaprowadził. Rodzina dawnych iberyjskich władców, którzy nosili tytuł Mamasaklisów, ratowała się ucieczką. Po kilku latach jeden z jej członków, dwudziestoletni Farnawaz, powrócił tajemnie do Mcchetu, i przemieszkując tam pod cudzím nazwiskiem w zupełnym ubóstwie, polowaniem się samotnie zabawiał, rozmyślając wciąż nad tém, jakby Greków wyrugować. Digomskie pole bywało częstym celem jego wycieczek i nadspodziewanie jego zamysłem dopomogło; znalazł tu bowiem, polując, ukryty skarb, a mianowicie: wielką moc złotych monet, różne kosztowności, nadto starożytne posągi bogów srebrne i złote. Po tak szczęśliwym polowaniu, łatwiej już było obławę na Azona urządzić. Nie odwlekał jej młody Farnawaz: udał się natychmiast do Egrisu, to jest do dzisiejszej Mingrelii, ujął sobie jej władzę księcia Kuzi, swego przyszłego szwagra, wojowników cichaczem pościągano, i Azon zniemacka zaskoczony w stolicy, zginął po krwawej bitwie z ręki szczęśliwego digomskiego myśliwca, który następnie stał się głową obszernego iberyjskiego państwa, co aż po Derbent sięgało, i pierwszy w Georgii przyjął tytuł *Mepe* t. j. króla.

Ów starożytny Mcchet ujrzymy niezadługo. Kilkanaście wiorst oddziela nas już tylko od tej przedty-

fliskiej georgiańskiej stolicy. Nie widać jej jednak, bo skały zasłaniają; zato Owczaly, duża wieś georgiańska, ślicznie się nam przedstawia, rozrzucona za Kurem, pod wysokim, lesistym grzbietem. Jest to grzbiet saguramski, wielkimi bukowymi lasami zarosły, gdzie się gruby zwierz swobodnie ukrywa. Dzikie, poszarpane, wapienne wąwozy gąszczem zarosłe, co przerzynają boki tego kilkomilowego pasma, są ulubionymi kryjówkami jeleni.

Dojechalśmy do skał: piętrzą się tuż przy drodze, zaczernione otworami grot, gdzie kiedyś, podług podania, liczni pustelnicy zamieszkiwali.

Skrećmy na prawo. Trzyarkadowy most przeprowadza nas na lewy brzeg Kuru, i oto jesteśmy trzy mile od Tyflisu, w Mcchecie, założonym przez Mcchetosa, Kartlosowego syna, mniej więcej w czasach Numy Pompiliusza, Nabonassara, Tyrteusza i króla Manassesa; pokazuje się stąd, że Mcchet, jest to sędziwych lat staruszek, obarczony dwudziestą pięcią wiekami. Oddawna on wszelkie doczesne sprawy powierzył synowi imieniem Tyflis, i pędzi żywot pokutny, li tylko nabożeństwu się oddając. Gruzy i kilkanaście domków, to cała jego światowa puścizna; ale dwie bardzo wspaniale świątynie ostrzegają podróżnego, że ten sędziwy pustelnik nie w powszednim życiu zestarzał, ale nosił kiedyś koronę. Jedna z dwóch świątyń stoi nad samem ujściem Aragwy do szerszego od niej Kuru. Aragwa, jest to prześliczna górską rzeką, przynosząca Kurowi z lewej strony bardzo bogaty zasilek wody, przezroczyściej jak tatrzańskie Morskie Oko.

Zakręty dwóch dużych, pięknych rzek, dokoła malowniczo poszarpane skały i grzbiety gór bukowymi lasami zarosłe — są przyczyną, że Mcchet do pięknych miejscowości można śmiało policzyć. Żeby ta dawna stolica, a dzisiejsza georgiańska Częstochowa, wybitnie mogła utrzymać swój religijny charakter, okoliczne skały i góry pokryły się mnóstwem starożytnych cerkwi, zwykle napół rozwalonych, co się niemało do krajobrazowej piękności miejsca przyczynia.

Uroczystości kościelne, w tych licznych cerkwiach odprawiane, w różnych epokach roku sprowadzają tu tłumy pobożne; jednak pierwszego października (v. s.) już nie tłumy, ale cały naród się tu gromadzi. Najdalsze prowincje starożytnej Georgii pamiętają o tém święcie, a Tyflis, dosłownie rzecz biorąc, prawie cały na ten dzień przenosi się do Mcchetu. Nad Kurem, Aragwą i po okolicznych górach obozują wtedy niezliczone mrowiska świątecznie przybranego ludu; w Mcchecie zjawiają się nagle długie ulice namiotów, w których zwykle mieszczą się garkuchnie, szynki, winiarnie i owocarnie; wszędzie tłok, a u drzwi cerkiewnych największy. Po nabożeństwie i po zachodzie słońca, gdy tysiące ognisk zabyśnie na blizkich górach, gdy zagrzmią seciny zurn i bębneków i gdy ze wszystkich stron, jak morskie fale, chóralne pieśni popłyną, zdaje ci się że jesteś na jakiejś zaczarowanej operze, którą cały naród odgrywa w obliczu gwiaździstego nieba. Powodem tych olbrzymich zgromadzeń w dniu 1 października jest uroczystość religijna *Sukni Chrystusa Pana*, odprawiana się w mcchecim soborze, co się wspaniale wznosi przy samym ujściu Aragwy. Świątynia ta nietylko cudami słynie, ale nadto ma dla Georgian wielkie historyczne pamiątki. Tu koronowali się od niepamiętnych czasów georgiańscy królowie, tu popioly wielu z nich spoczywają. Po dwóch stronach ambony marmurowe tablice wskazują miejsca, gdzie leżą ciała dwóch ostatnich georgiańskich królów: Herakliusza II i Jerzego XIII. Herakliusz, był to król rycerski i czynny; całe życie opędzał się od Persów i Lezginów. Mało jest wypadków tak długiego panowania: wstąpił na tron mając lat 20, panował zaś 60 lat. Umarł w Tyflisie 23 stycznia 1798 roku, na tém samém łóżku, na którym się urodził przed 80 laty.

Za jego panowania w roku 1769 po raz pierwszy wojska imperatorowej Katarzyny przeszły jedyną kołową drogę wiodącą przez szczyty Kaukazu, tę samą, którą i my przejechać mamy. Ten pierwszy oddział składał się z 400 ludzi i 4ch armat; dowodził nim generał Tottlebeu. Śpieszył przez góry do Imerecyi, na pomoc przeciwko Turkom, i zabawił za Kaukazem do r. 1772.

Po drugi raz taż sama droga przebyta została w r.

1784 przez oddział pułkownika Burnaszewa, który szedł na pomoc Herakliuszowi przeciw chanowi awarskiemu i baszy achalcyskiemu. Oddział składał się z dwóch batalionów, przy 4ch armatach, i niedługo bawił w Georgii.

Po trzeci raz w r. 1795 dwa bataliony i cztery armaty śpieszyły przez góry, na odsiecz Tyflisowi przeciw Persom, nie zdążywszy jednak ocalić georgiańskiej stolicy; z Duszetu, gdzie nam dziś nocleg wypadnie, powróciły za góry na kaukaską linią.

W r. 1796 hrabia Zubow był wprawdzie do wiosny 1797 r. ze swoim korpusem w Georgii, nie przechodził jednak naszej dariańskiej drogi, ale przez Derbent ze wschodu od Kaspijskiego morza przymaršerował.

Nareszcie w roku 1799 generał Łazarew przeszedł trudną tę drogę, i już odtąd wojska cesarskie Georgii nie opuszczały. Było to już po śmierci Herakliusza, za panowania jego syna Jerzego XIII, ostatniego georgiańskiego króla. Jerzy zmarł w r. 1801 3 stycznia, a pierwszych dni lutego czytany był w głównej tyfliskiej świątyni manifest cesarza Pawła, wcielający Georgią do Rosyi.

Wracamy do opisu Mcchetu. Sobór mccheci nie odznacza się wielką starożytnością, wybudował go bowiem król Aleksander w wieku XV, na miejscu dawnego, co go do szczętu Tamerlan zburzył rozkazał. Tamten zbudowany był w roku 1318 przez Jerzego VI, na miejscu jeszcze dawniejszego, który trzęsienie ziemi zważyło. Sobór przez tę plagę południowych okolic zgruchotany, miał być nadzwyczajnej wspaniałości i zbudowany był przez króla Gurgasłana w V wieku, na miejscu murowanego już wprawdzie ale mniej okazałego, który postawił król Tiridat w IV wieku. Ale i ten sobór Tiridata, to jeszcze nie pierwszy; przed nim był drewniany, wzniesiony przez króla Miriana w r. 328, współcześnie z nawróceniem Georgii przez świętą Ninę. Dzisiejsza świątynia jest więc praprawnuczką owego pierwszego drewnianego kościoła. Średnio trzy-sta lat na jedno kamienne pokolenie wypada. Bardzo niewiele.

Wspomnieliśmy o świętej Ninie. Cała Georgia pełna jest jej wspomnień, a w szczególności też Mcchet. Druga świątynia dawnej stolicy stoi na miejscu gdzie Nina, biędna chrześcijańska dziewica, dokonywała dzieła nawrócenia nie uczonemi wywodami, ale nieskalanem życiem, prostą opowieścią męki Chrystusa i gorącą modlitwą przed krzyżem, co go złożyła z dwóch winogronnych łoż, związawszy je obciętym własnym warkoczem.

Przy świątyni ocalała starożytna baszta; podług podania ma to być ostatnia pozostałość z zamku znakomitego króla Gurgasłana.

Na lewym brzegu Aragwy, na wysokiej skale, jest cerkiew święto-krzyżka, *Cminda-Dźwari*, zbudowana na miejscu gdzie jakiś czas święta Nina mieszkała. Na górach z prawej strony Kuru, na skale gdzie stał kiedyś bożek Armazis, zwalony z rozkazu świętej, dziś jest świątynia *Nino-Cminda*, bardzo dawna, starożytnymi rozwalinami dokoła otoczona.

Skoro, nie zatrzymując się ani chwili w Mcchecie, ale jadąc dalej swoją drogą ku góróm, cudownym sposobem dostaliśmy się na taką wysokość jak Nino-Cminda, to pozwólmy sobie jeszcze wyżej wylecieć, aż do zedadzeńskiej cerkiewki, co ją ledwie widać za Aragwą na znacznej wysokości, śród pięknych bukowych lasów. Tam, podług kronik, stał kiedyś bożek Zeden i spełniano przed nim krwawe ofiary. Później w pobliskich grotach żył ze swymi uczniami pustelnik Jan, jeden z trzynastu syryjskich ojców, co z Antiochii do Georgii przybyli w połowie V wieku, żeby dokończyć dzieła nawrócenia, rozpoczętego przez św. Ninę. Cerkiewka jest pod wezwaniem tego świętego pustelnika. Nigdy jej nie zapomnę, choć mnie z nią jednoczy bardzo prozaiczne wspomnienie. Dostawsy się tam raz, z wesołym naturalistą, wielkimi lasami od strony Owczal, a nie mając w myśliwskich torbach nic prócz chleba i bardzo słonej wędliny, o mało nie pomarliśmy z pragnienia, nigdzie bowiem dokoła niema ani kropelki wody. Jak leśni ptaszki, krople rosy zbieraliśmy z bukowych liści.

Wspomniałem pustelnika Jana zedadzeńskiego; więc kończąc rzecz o Mcchecie, nie zapomnijmyż i o pustelniku Szio, jest to bowiem także jeden z trzy-

nastu syryjskich ojców, a jego pieczara wykuta jest w skale, obok mnóstwa innych grot, znacznie wyżej ponad wspomnianą już cerkwią Cmindy Dzwari.

Jedźmy już, bo się doktor do Wilna bardzo śpieszy; czy los jednak pośpieszać nam pozwoli, to się dalej pokaże.

Tuż przy Mcchecie, wyminawszy rozwaliny dawniej twierdzy Nacchori, ruszamy brzegiem Aragwy. Właściwie rzecz biorąc skoro zbrataliśmy się z łożyskiem tej rzeki, zaczynamy wjeżdżać na szczyty Kaukazu, chociaż do nich jeszcze daleko i chociaż ten wjazd zrazu odbywa się niodostrzegalnie. Kur, płynąc równo odległe od głównego grzbietu Kaukazu, zabięra wszystkie wody ze śniegowych szczytów ku południowi spadając, na przestrzeni przeszło 60 milowej, od Radży ku Kaspijskiemu morzu; dolina Kuru jest więc na tej przestrzeni spodem Kaukazu, a każda rzeka z lewej strony do tej głównej wodnej arterii wpadająca drogą ku szczytom. Piękna Aragwa, ukochna przez zakaukaskich mieszkańców, do tej właśnie kategorii należy.

Trzymając się tej miłej przewodniczki, dojechaliśmy do pierwszej pocztowej stacji od Tyflisu, do Gartiskaru, odległego 4 wiorsty od Mcchetu, i jesteśmy dopiero 1558 stóp nad poziom morza wzniesieni. Na prawo góry, przed nami także, na lewo obszerne dolina krzakami zarosła — oto okolica Gartiskaru. Te niepozorne na lewo, zakrzaczone przestrzenie mają swoją sławę niepoślednią: jest to znana od wszystkich myśliwych główna kwatery bazantów. Stacja pocztowa w Gartiskarze także niepozorna, a jednak z niej trzy ważne trakty na trzy strony świata się rozchodzą: jeden przez Tyflis do Persyi, drugi przez Kutais do Czarnego morza, trzeci przez szczyty Kaukazu do Rossyi.

Przed pocztą zastaliśmy wielki ruch, bo tylko co przed nami przybyła z gór rodzina generalska, jadąc z Rossyi do nieznanego jej Tyflisu. Powóz, tarantas i furgon silnie wypakowane stały przed domem pocztowym, służba się kręciła, pocztyliony pośpiesznie zaprzęgali. Dwie damy siedziały w powozie. Jedna z nich bardzo młoda, jasna blondynka, widocznie skandynawskiego pochodzenia, trzymała w ręku elegancko oprawny kajet i bez przerwy suwała po nim ołówkiem; widocznie pisała dziennik podróży.

— Patrz! — stojąc koło mnie na ganku, zawołał doktor, wesoło zacięrając ręce.

Myślałem, że mi każe patrzeć na młodą literatkę, ale co innego zajmowało doktora.

— Patrz! jaki to ciężki powóz, a w Tyflisie ci głupcy straszili nas że się śniegi obsunęły na Gudzie i że przejechać nie można. Zobaczysz, jak nie przejedziemy te utrapione dziury. Najdalej pojutrze dorwiemy się stepu. O, toż będziemy czesać!

Najzupełniej potwierdzałem opinią doktora, bo także miałem szczerą ochotę jechać jak można najprędzej; ale pocztowy dozorca ochłodził nas cokolwiek z naszego zapału, powiedziawszy nam trzy niemiłe rzeczy, jakby jego fant kto na to osądził.

1) Już parę dni jak ciężki powóz przejeżdżał przez szczyty Kaukazu, a na zawałenie drogi dość kilku sekund. 2) Lokaj tych państwa mówił, że z Kobi do Kajszauru powóz przeciągało dwanaście par wołów i dwudziestu Osetynów. 3) Koni niema, dopiero za kilka godzin będą.

Trzecia nowina była najprzykrzejsza, chwilowo bowiem osadzała nas na miejscu. Cóż było robić? Nic nie pozostawało, jak kazać torby z wiktuałami do gościnnej stancyi przynieść i osładzać los smutny bułkami, sérem i zimnym mięsiwem, bo o gotowanym obiedzie w owe czasy na niektórych stacyach dariańskiej drogi nawet marzyć nie było wolno.

Rodzina generalska odjechała; nie sami jednak pozostaliśmy w Gartiskarze: prócz nas druga para podróżnych w gościnny pokoju oczekiwała z utęsknieniem na konie, a że w drodze szybko się robią znajomości, więc za kwadrans wiedziliśmy wzajemnie wszystkie szczegóły o sobie. Nasi nowi towarzysze, Iwanes to jest Jan i Eliko czyli Elias, byli to tyfliscy mieszczanie, podążający za góry w interesach handlowych. Wysoki, chudy, z haczykowatym nosem Eliko był po europejsku ubrany. Jakiś tam turysta dowodził, że narody przebiegające się w nowe suknie, zwykle swoje przeobrażenie od nóg zaczy-

nają, i że głowy na samym ostatku pozbywają się dawnych nakryć. Eliko widać, chcąc poprzec to twierdzenie turysty, nosił śpiczastą barankową czapkę, ostatni zbytek georgiańskiego stroju. Iwanes od stóp do głowy był po narodowemu ubrany. Była to typowa figura: choć dobrze tuszy, ale sztywny i żwawy, miał rumiane i lśniące policzki; wąsem Sobieskiego, a humorem pana Jowialskiego przypominał. Georgiańskie przysłowia i różne anegdotki opowiadane z nieporównaną mimiką, wciąż mu się sypały, jakby z za rękawa. Doktorowi i mnie od pierwszego razu po kwakrowsku mówił *ty*, podług kaukazkiego zwyczaju. Bardzo prędko spostrzegłszy, że między naszymi nowymi towarzyszami panował zawzięty antagonizm. Eliko miał się za coś mędrszego od Iwanesa, a Iwanes się nie dawał i drwił sobie na zabój ze sztywnego pana Eliasza.

— Iwanesie, mówił Eliko, zapakuj te jedzenia i odnieś na powózkę; poco się mamy wtenczas guzdrać, jak już konie zaprzęgną.

Zaśmiał się Iwanes wesoło z tej propozycyi i rzekł:

— *Brat mówi bratu: racz nawiedzić stado, a ja powłokę się na wesele.* Widać się tego przysłowia trzymasz. Do jedzenia byłeś, do pakowania niema cię. *Kot lubi ryby, ale leń nogi zamoczyć.* Trudna jednak sprawa, panie Eliaszu, *nie masz sługi, sam sobie służ.* Zrzucę pychę z serca, zapakuj i odnieś.

— To wybornie! — wołał niecierpliwie Eliko. — Dlaczegoż ja tobie mam służyć? Tyś przyniósł, tyś rozpakował, więc ty zapakuj i ty odnieś.

— O to logika! — śmiejąc się mówił Iwanes. Właśnie dlatego że ja przyniosłem i rozpakowałem, więc ty zapakujesz i odniesiesz. *Gdyby młyńskie kamienie sobie nie pomagały, jeden niby nie zmell.*

— Jakie ścisłe rachunki! Toć tutaj nie koniec podróży. Sto razy mogę jeszcze pakować.

— Co mi tam po obietnicach. *Dzisiejsze jaje miłsze od jutrzejszej kury.* Jak nie zapakujesz, to wszystko zostanie, i będziemy sobie w drodze śpiewać: z nadzieją i głód dobry.

Eliko, powiedziawszy kilka kwaśnych uwag, wziął się do pakowania. Iwanes zaczął mu wesoło pomagać, i obracając się ku nam, rzekł:

— *Gdyby nos oczów nie rozdzielał, i te by się pokłóciły.* Brat z bratem policzyli się i znowu braćmi zostali...

— Już to tych panów swemi dowcipami nie zachwycisz — rzekł Eliko, chcąc pochleństwem przeciągnąć nas na swoją stronę. Ci panowie, jako ludzie oświeceni, przez grzeczność cię słuchają, a ty zaraz myślisz, że ich bawisz swemi głupimi przysłowiami. Że tobie własne koncepta się podobają, to nie dziwnego: *nawet wronie swoje dziecko się podoba.*

— *Zwiąż czarneyo z białym, albo kolor, albo obyczaj przemieni,* zawołał wesoło Iwanes. Ziściło się. Eliko ledwie zemną jedną stacyą przejechał, a zaczyna już dowcipne przysłowia mówić. Wprawdzie dotąd dopiero jedno powiedział, ale i to mu trzeba pochwalić dla zachęty, bo powiedziano: *małemu pieskowi, jeżeli od lasu zawróci zająca, policz za złapanie...*

Mały piesek bardzo się nie podobał dużemu Eliaszowi; czekałem burzy, ale zgodnych usposobień doktor, żeby ją zażegnać, czémprędzej rozmowę w inną stronę odwrócił. Skakała żwawo z przedmiotu na przedmiot, aż zatrzymała się na świeżo opuszczonym przez nas Mcchecie.

— Widziałeś sobór, — mówił Iwanes do doktora, widziałeś Cmindy Dzwari; ale czy widziałeś łańcuch, którym ich kopuły są połączone?

— Jaki łańcuch?

— Zwyczajny żelazny łańcuch.

— Niema tam żadnego łańcucha. Sobór w dole, Cmindy Dzwari za Aragwą na wysokości górze, każdy łańcuchby się urwał.

— A jednak był kiedyś — figlarnie przemówił Iwanes, i zakonnicy tak byli kiedyś święci, tak ich żaden grzech nie obciążał, że jak duchy przechadzali się po tym łańcuchu. To starzy ludzie utrzymują, a przecież powiedziano: *starego nawet snom można wierzyć.*

— Już to żeby wierzyć wszystkiemu co nasi starzy bają — zauważył uczenie Eliko — toby się trzeba zdrowego rozumu wyprzeć. Wszystko co o naszych dawnych czasach plotą, jest to zbiór najdzikszych baśni, i bardzo warto, żeby europejscy uczeni raz przecie nauczyli ich rozumu.

Skończywszy, Eliko tak popatrzył na nas, jakby mówił: czy widzicie jaki ja mądry! Milczeliśmy z podziwu, ale Iwanes bardzo mu dobitnie odpowiedział:

— Jeżeli wszyscy europejscy uczeni tacy głupi jak ten uczony Niemiec, co w moim domu mieszkał, to ja nie chcę się od nich uczyć rozumu.

Roześmieliśmy się z doktorem, i na zapytanie co to za Niemiec, taką usłyszeliśmy odpowiedź.

— Nie pamiętam nazwiska, ale było to długie, suche i niezgrabne Niemczyko, z głębokiej Niemieczczyzny przybyłe. Kamienie, chwasty, żaby, robactwo znosił mi codzień do domu. Wciąż się czegoś śpieszył, a zegarka, to się jak przykazań Boskich pilnował. O jednej godzinie wstawał, o jednej jadał, o jednej chodził, o jednej czytał, że aż ziewać trzeba było. Ale nie darmo powiedziano: *jeden raz to i woda się zdrzemie;* mówią także: *o jedno aletuja i ksiądz się pomyli;* pomylił się i mój Niemiec, a to w ten sposób. O godzinie drugiej po południu pędził on codzień wielkimi kroczykami do domu, stawiał swój gruby kij zawsze w jednym i tym samym kącie, a sam czémprędzej kładł się na łóżko, żeby się przespać do trzeciej. Jeżeli się o tej godzinie nie ocknął, to albo ja, albo które z dzieci musieliśmy go obudzić, boby nam Niemiec gwałtu strasznego narobił. Wchodzę raz o trzeciej. Co u licha! Kij leży na łóżku, a Niemiec na jego miejscu od godziny w kącie stoi. Pomylił się nieborak.

Eliko uważał za stosowne nie śmiać się z tej anegdoty. Zdawało mu się że ubliżyłby swemu europejskiemu paltotowi i spodniom na wierzech butów opuszczonym; zresztą, nie zapomniawszy jeszcze *małego pieska*, obszernie zaczął dowodzić, że barbarzyńcami są Georgianie stariej daty, a w szczególności Iwanes. Żwawo bronił się nasz jowialista, i zaniosło się na długą dysputę. Powtarzać jej nie myślę, tylko przytoczę kilka przysłów, zacytowanych w jej ciągu przez Iwanesa: *Gdy się Bóg rozgniewa na człowieka, najprzód mu rozum odejmuje.* — *Dla kozła kozioł lepszy od tysiąca baranów.* — *Gdzie plak wyrosnie, tam jego Bagdad.* — *Pniak upadł, mrówki go okrężyły.* — *Nizki parkan kto chce to gniecie.* — *Drzewo upadło, z toporem i bez toporu przystęp swobodny.*

Po parogodzinym popasie, wyjechali najprzód dwaj tyfliscy mieszczanie, następnie i my w pół godziny za nimi. Droga wiodła nas nad brzegiem Aragwy. Nigdzie na dariańskiej drodze niema brzydkich okolic; okolica więc była ładna, nie jednak w niej nadzwyczajnego nie było. Przy grudniowym braku liści, zieloności i kwiatów, trzeba szczególnie pięknych miejsc, żeby mogły zająć całą uwagę podróżnego. Nie było przy drodze olbrzymich skał, zamków, wodospadów; więc myśli oderwane od otaczającego świata wyścignęły leniwą powózkę i o paręset mil gościły wśród grona ukochnych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Ks. Wł. Siark. w *Kielcach*. Opis i rysunek kościoła w Proszowicach zamieszczony był jeszcze we wrześniu r. z., w N. 416 pierwszej seryi Tygodnika.

Panu T. B. z *nad Murafy*. Korespondencya pańska treścią swoją odpowiedniejszą byłaby dla której z gazet naszych.

Panu L. D. w *Lublinie*. Artykuła o Ozonie drukować nie będziemy. Zachowujemy go do dyspozycyi pańskiej.

Młodej szachistce w Wilnie. Z nadesłanych zadań konikowych, dwa w czasie właściwym zostaną użyte.

Panu T. K. w *gub. podolskiej*. Nadesłany materiał spożytkujemy. Akwarela najlepiej w tym razie odpowiada wymaganiom drzeworytnictwa.

Autorom wierszy p. t. „Jaskółka“: — „W odpowiedzi E. M.“: — „Kwiateczki“: — „Do dziewczyny“ (w czterech obrazkach); — „Ze świata“: — „Potworna kobieta“: — Utwory panów drukowane nie będą.

Przy tej sposobności upraszamy raz na zawsze łaskawych korespondentów, nadsyłających nam swoje utwory rymowane i nierymowane, aby uwolnić nas raczyli od odpowiedzi motywowanych. W szczupłej rubryce *Korespondencyi od redakcyi* niema miejsca na recenzje. A zresztą oceny tego rodzaju zupełnie byłyby niezrozumiałe dla ogółu czytelników, nie wiedzących wcale o co rzecz idzie. W rzadkich tylko wypadkach wyjątkowo od tej zasady odstępujemy.

KAPLICA OGRÓJCOWA,

fundacyi Boimów we Lwowie.

Ktokolwiek Lwówzwiędzał, zwrócił niechybnie uwagę, przechodząc około katedry, na stojącą tuż obok od strony wschodniej kaplicę, przytykającą jedną stroną do rzędu kamienic kapitulnych. Szczególniej front tej kaplicy, cały okryty przeszliczną rzeźbą, wyobrażającą sceny z męki Chrystusa Pana, oplecione siecią wijących się fantastycznie arabesków i rozmaitych ozdób, zachwyca oko widza. Jest to jedna z najpiękniejszych budowli Lwowa i zasługuje ze względu swęj architektonicznej piękności, a zwłaszcza artystycznej wartości rzeźb ją zdobiących, na baczność uwagi artystów i archeologów i na troskliwą o zachowanie jęj od zniszczenia pieczołowitość.

Katedra lwowska otoczona była niegdyś oparkanionym cmentarzem, na którym znajdowało się sześć rozmaitej fundacyi kaplic. Przy odnowieniu kościoła, za staraniem arcybiskupa Waclawa Hieronima Sierakowskiego, w końcu zeszłego stulecia zniesiono cmentarz i zburzono kaplice zasłaniające widok na kościół, pozostawiając obszerny plac w około. Jedna tylko kaplica Ogrójcowa, zapewne z powodu szczególniejszęj swęj piękności, uszła wówczas tego samego losu. Ją jedną pozostawiono w całości; ale zato kielnia mularska w przesadnym zapale restauracyjnym obrzuciła tynkiem górne gzymsy i niepomalu pierwotną ich piękność zatarała. Dobrze przynajmniej, że tyle co jest pozostało.



Kaplica zwana Boimów, we Lwowie.

konania. Wezwany przez Boima, nakręślił plan budowniczy Janusz Głuski, akademik krakowski, a Mina, także Krakowianin, snycerz, zajął się wykonaniem rzeźb i ornamentów architektonicznych. Obadwaj wywiązali się znakomicie z poruczonego sobie dzieła.

Ponieważ kaplica poświęcona jest pamięci męki Pańskiej i zwana Ogrójcowa, przeto wszystkie głównejsze rzeźby przedstawiają sceny męki i ukrzyżowania Chrystusa. Sześć kolumn korynckich pięknie rzeźbionych zdobi jęj front. W dolnej tegoż połowie, w dwu framugach po obu stronach drzwi wchodowych, stoją posągi św. Piotra i Pawła, z kluczami w ręku. Ponad niemi, w ósmiu obramowanych piękna rzeźbą medalionach, znajdują się popiersia ojców kościoła. Powyżęj na takichże medalionach napisy z pisma św. W górnej połowie frontowej ściany rzeźby obramowane arabeskami przedstawiają ostatnie chwile Chrystusa. Największa rzeźba ponad drzwiami wchodowymi wyobraża zdjęcie z krzyża, po bokach pomniejsze grupy przedstawiają Chrystusa dźwigającego krzyż i ukrzyżowanie, tudzież inne sceny męki Chrystusowej, w grupach po trzy osoby. Wszystko razem związane po części symbolicznemi, po części fantastycznemi rzeźbami, w artystyczno-architektoniczną ujęte całość, zachwyca oko zarówno znawcy, jak i zwykłego widza. Ponad tęm, w trzeciej wyższęj jeszcze kondygnacyi ściany frontowej, w pośrodku nięj umieszczony Chrystus na krzyżu z kamienia, opartym o pierścień tworzący okno. Na górnym gzymsie w około kopuły jest napis łaciński ku czci Matki Boskiej. Ponad kopułą wznosi się druga pomniejsza, na ósmiu słupach oparta, której oszklone ściany wpuszczają z góry światło do wnętrza kaplicy. Na szczycie tej kopuły umieszczony krzyż, dźwiga na barkach Chrystus w cierniowęj koronie.

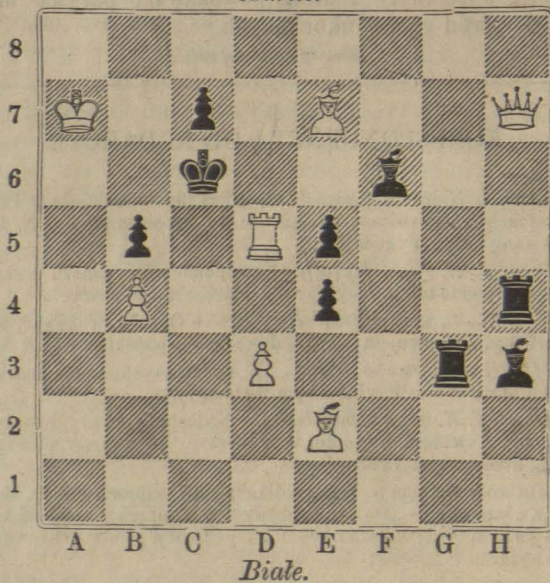
Wiele okazałości ujmuje kaplicę Ogrójcowęj to, że przytyka jedną stroną do kamienic kapitulnych. Dwie inne jęj ściany, oprócz biezącej w około ornamentyki gzymsów, nie są już ozdobione rzeźbami w ten sposób jak ściana frontowa. W ciągu czasu zatarto na nich wiele ozdób przez otynkowanie.

(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXXII.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.
Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 31.

- | | |
|-------------------|-----------------|
| 1) F3—E4 | 1) A6—C8. |
| 2) E7—D7† | 2) C8—D7 biorą. |
| 3) D8—E7† | 3) D6—E5. |
| 4) D4—F3 † i mat. | |
-
- | | |
|-------------------------------|-----------|
| 1) F4—F3. | |
| 2) D4—F3 biorą | 2) E6—E5. |
| 3) E7—D7 † | 3) D6—E6. |
| 4) Laufer albo koń daje mata. | |

Trzysta lat upływa, jak Jerzy Boim, obywatel i radny miasta Lwowa, zbudował tę kaplicę. Dzieje jęj-budowy są następujące:

Rodzina Boimów przybyła do Lwowa z Węgier i przyjęła obywatelstwo tutejsze. Wydała ona kilku zasłużonych mężów. Fundator kaplicy o której mowa, wysłany był młodym chłopcem na nauki do Bononii, jak to podówczas w Polsce było zwyczajem. Wszelako nauki młodemu chłopcu nie były wcale w głowie i trawił czas na próżnowaniu. Wtęm otrzymał wiadomość o śmierci ojca. Skoro się o tęm dowiedział, pierwszą myślą młodzieniaszka było porzucić nauki i wracać do kraju, gdzie pozostawiony przez ojca majątek wabił nadzieją dostarczenia sposobu użycia mnogich rozkoszy. Ale gdy zamiar ten skutecznie miał, zjawia mu się we śnie nieboszczyk ojciec i surowo zgromiwszy, upomina, aby nie wracał do kraju, póki nauk nie skończy i nie usposobi się na usługi jego należycie. Sen ten wywarł wielkie na młodzieńcu wrażenie. Pozostał według otrzymanego we śnie rozkazu w Bononii, i skruszony jął się pracy, na przebłaganie zaś cieni ojcowskich uczynił ślub zbudowania za powrotem do kraju kaplicy na pamiątkę męki Pańskiej, w rodzinnęm swęm mieście.

Nie rychło jednak ślub takowy mógł być spełniony. Długie od tego czasu upłynęły lata. Pojawszy w małżeństwo Jadwigę Niziowską, sędziwęj doszedł starości. W późnym już bardzo wieku oboje oddani pobożności, postanowili spełnić ślub w młodości uczyniony. Usunąwszy przeto różnorodne przeszkody, zajęli się budową kaplicy, która miała zarazem być ich rodzinnęm grobem. Chcieli oni aby zamierzona budowa odznaczała się przed innemi lwowskiemi pięknością pomysłu i wy-

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 39.

Nauka i doświadczenie rozwija umysłowe zdolności człowieka.

(Dodatek.)

ścianie wschodniej, od ulicy Halickiej, pozostały jeszcze ślady dwóch popiersi, malowanych *al fresco*, naturalnej wielkości, przedstawiających oboje fundatorów kaplicy, Jerzego Boima i jego małżonkę, w strojach społecznych. Archeologiczny ten zabytek godny jest odnowienia i zachowania; lecz kapituła nie troszczy się o to. A szkoda, bo ręka czasu z dniem każdym coraz bardziej zacięra i niszczy obadwa portrety. Na ścianie południowej są dwa obrazy, także *al fresco*, przedstawiające Chrystusa i Matkę Boską, tudzież rzeźba wyobrażająca św. Jerzego.

Wnętrze kaplicy niezupełnie odpowiada zewnętrznej piękności, albowiem rzeźby okrywające całą ścianę główną naprzeciw wejścia, tudzież znajdujące się tu pomniki, mierownie mniejszej są wartości artystycznej od rzeźb zewnętrznych. Ponad ołtarzem główna rzeźba wielkiego rozmiaru przedstawia Chrystusa modlącego się w Ogrójcu; anioł spuszczający się z nieba podaje Mu kielich; bliżej grupa śpiących uczniów. Poniżej tej rzeźby, ponad samym ołtarzem, podłużna rzeźba wyobraża wieczerzę Pańską, nie taką jednak jak ją zwykle malują, lecz wedle opisu księgi Mojżeszowej. Apostołowie stoją w okół stołu z laskami w ręku i w strojach podróży; znać rozejść się mają po świecie. Po obu bokach głównej rzeźby jest z jednej strony Chrystus starcomi nogi umywający, z drugiej wieczerza Pańska, przedstawiona w zwykły sposób. Według tejże rzeźby odmalowany olejny obraz znajduje się na bocznej zawieszony ścianie. Inne rzeźby obok głównej nad ołtarzem są: Ukrzyżowanie Chrystusa i Złożenie do grobu, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie i kilka innych religijno-alegorycznych.

Rzeźby te były, zwyczajem sztuki średniowiecznej miejscami złoczone i powleczone barwami. Ślady tych złocen zachowały się dotychczas.

W kopule, w kasetonach otoczonych pięknymi sztukateriami i rozetami, obiegających trzema rzędami rotundę kopuły, są popiersia św. patronów rodziny fundatorów. Światło z górnej kopuły rozlewa się równą, łagodną falą po całym wnętrzu kościoła.

U ściany południowej, po prawej stronie od wchodu, jest większego rozmiaru nagrobek rodzinny. Na nim postać Matki Boskiej trzymającej Jezusa; po obu stronach klęczą fundatorowie kaplicy; u góry grupa z kilku osób złożona. Wszystkie osoby z żółtego alabastru wyrzeźbione. Nagrobek ten małą wartość artystyczną.

Pod kaplicą są groby rodziny Boimów. Co piątek odprawia się w niej msza za duszę fundatorów, a przez Wielki tydzień jest bez przerwy otwarta dla pobożnych.

Obecnie, staraniem p. Mieczysława Potockiego, rządowego konserwatora zabytków starożytnych Galicji wschodniej, a kosztem kapituły, poczęto restaurować wizerunki *al fresco* obojga fundatorów tej kaplicy, znajdujące się zewnątrz na ścianie wschodniej.

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Zygmunt stał się codziennym gościem u swojej wujenki, która powoli przywykła tak do tych odwiedzin, że uważała je prawie za konieczne, z powodu kuzynostwa, z powodu samej siebie, — no i z powodu Ewy. Tak zaślepiona zarozumieniem nie była, żeby nie miała widzieć, że trzeci powód jest najważniejszy, ale nie widziała potrzeby zbyt skrupulatnego sądu intencji Zygmunta, kiedy ję z tym dobre było. A co się tyczy niebezpieczeństwa... Oh! przecież Zygmunt ma rozum; a Ewa.. no, i cóż ję się sam stanie!

Zygmunt przestał rozumować, przestał pytać siebie, boby nie umiał odpowiedzieć na żadne pytanie. Spędziwszy kilka godzin na gawędce ogólnej, często zasiadał z Ewą nad książkami, pod pozorem przysposobienia ję do egzaminu. Z specjalnych naukowych tematów, które usypiały hrabine, zawsze by-

ło łatwe przejście do delikatnych zagadnień psychologicznych, do uczucia. Stawiano tylko ogólne poglądy, ale zastosowanie dla obojga było widoczne. Wieczny to i niewyczerpany temat dla kochanków, bo w takich rozprawach odzwierciedlają się w sobie wzajemnie, trącając o siebie dusza mężka i niewieścia. Niema cudniejszej harmonii, nad rozmowę uczuciową dwojga rozumnych istot; niema cudniejszej nagrody pracy i boju życia. Ale tylko wśród pracy i boju kwiat taki rzeczywiście zdrowym, silnym, nie sentymentalnym życiem rozkwita. Róża nie powinna być bez kolców.

Raz, po kilkogodzinnej pracy nad subtelnościami składni francuskiej, rzekła Ewa:

— Chwila egzaminu się zbliża i zdaje mi się, że nie mam się czego obawiać; a jednak będzie to dla mnie bardzo przykre przejście. Jestem w podobnym usposobieniu, jak człowiek któremu mają lekarze robić operację, niezmiernie pewną i korzystną dla jego zdrowia, ale bądź co bądź bolesną.

— Upewniam panią, że w największej liczbie operacji bywa więcej strachu niż bólu, w tej zaś sam tylko strach ból sprawia. Podjęłaś pani mężkie zamiary, pełnij je i z mężką odwagą.

— To prawda, nauka jest dotąd prawie wyłącznie mężczyzną udziałem, a szczupła liczba kobiet poświęcająca się nauczaniu lub literaturze, wchodząc w prawa mężczyzny, rzeka się zalet płci swojej, według powszechnego przekonania.

— Ależ to bluźnierstwo! Czyż podobna ignorancją liczyć komu za zaletę? Wierz mi pani, że nigdy nie podzielałem tego przesądu.

— Mój dobry ojciec zawsze też oburzał się na takie zdania. Dzięki jego przekonaniom, będę teraz mogła osładzać późne lata mojej matki i być pomocą dla młodszego rodzeństwa. Pod tym względem korzyść jest niezaprzeczoną, idzie tylko o inny rezultat kierunku jaki obrałam, o wpływ stopniowy jaki wywierać będzie na mnie samę. Nieraz doprawdy, gdy się zastanowię nad siłą z jaką przenoszę różne przykrości losu i zmiany położenia, przychodzi mi na myśl, że *mężstwo* jest przymiotem *mężkim*, który nabywając z konieczności, zbaczam z właściwego mi zakresu.

— Gdybym powiedział, że pani jesteś wzorem płci swojej, brzmiałoby to jak utarty komplement, o który wiem że pani nie dba. Ale zastanówmy się jakich to mianowicie przymiotów straty obawiasz się pani? O pierwszym już napomknąłem: nie znosisz pani płaskich komplementów. Żaden salonowiec nie ująłby cię niemi, ani też tuzinkową rozmową o niczym. Cały tłum ignorantów, z których się przeważnie i nasza płeć składa, potępi panią, bo nie ma sposobu wciągnięcia cię w sferę swoich pojęć, a tym mniej olśnienia swoją mądrością, co im tak łatwo przychodzi w stosunkach z ogółem płci nadobnej. Słusznie nazwą panią zimną, bo dla nich zimną musisz pozostać; dumną, bo nie chcesz przed ich umysłem ugiąć czoła; oryginalną, bo postępujesz podług zasad, których oni nie rozumieją; śmieśzną dlatego, że oni sami nie chcą być posądzanymi o śmieśność i t. d. Przymiotów niewieściech gruntowna nauka nie niszczy, ale przeciwnie, krzepko je rozwija.

— Jednak i bardzo wysoko ukształceni mężczyźni odzywają się częstokroć potępiająco o naszych wyższych dążeniach i skazują nas na pilnowanie jedynie kuchni i igły.

— Tak, każdy ustalony porządek ma swoich obrońców; ale mimo nich, świat idzie dalej. Każda na świecie krzywda, im bardziej jest rozpowszechnioną i zakorzenioną latami, tym gorliwszych i zdolniejszych znajdowała zawsze orędowników.

— To smutnie; ze złej strony świat pan malujesz...

— To jedna tylko jego strona; i prawda ma poświęcone sobie sługi. Pani chcesz być ję kapłanką, jesteś już nią, służ ję więc bez bojaźni, bez zawahania się.

— Muszę, choćbym nie chciała. Przyznam się panu, że wszystko co dotąd czyniłam, wynikało więcej z instynktu czy natchnienia chwili, niż z wyrozumowania. Nie myślałam dotąd o tym, czy mam rację być taką jaką jestem. Dziękuję panu, że ufność w siebie samę we mnie obudzasz.

— O, nie powinnaś pani wątpić. Jakto, miałożby to czynić ujmę przymiotom niewiasty, gdy płomień jej uczuć tysiącnie się odbija w pojęciach nagromadzonych wiedzą, jak światło kandelabra w zawieszonych około niego przyrządach? gdy myśl ję potężnie ciąglę i wszechstronnem ćwiczeniem? Więc miłość, owo najwyższe szczęście jakie otrzymać możemy z rąk kobiety, wtedy tylko byłaby miłą pożądaną, gdy ją otacza pomrok niewiedomości, gdy umysł ję wznieść się nie potrafi ponad zajęcia balami, strojem i kuchnią? O, nie wierz pani temu! Myśl i uczucie, to dwa bieguny jednego magnesu; gdy jeden słabo działa, i drugi nie może być silny.

— Więc pan twierdzisz, zapytała Ewa, że silne uczucie tylko w parze z wysokim rozumem chodzi? A jednak, jak często daje się słyszeć zdanie, że rozum zabija uczucie. I rzeczywistość przedstawia liczne przykłady, zdające się potwierdzać to mniemanie. Zdarza się napotykać osoby ograniczone umysłowo, a szczerze i głęboko kochające.

— Tak, ale uczuciu tylko wyższa organizacja duchowa wartość nadaje. Głupiec robi poświęcenie, ale nie wie co poświęca i dlaczego, podczas gdy rozumny wie dobrze co traci; wyrazy więc *poświęcenie*, *heroizm*, właściwie tylko do niego dadzą się zastosować. Zresztą nie szukajmy ostateczności takich jak mędrzec i głupiec. Spójrzmy naokoło siebie, na cały ów tłum umysłów poziomych. Jaka jest ich miłość? jaka wartość poświęcenia? jaka wartość darów moralnych, które sobie wzajem przynoszą?

Ewie przyszedł na myśl Jan Bieniak i przyznała słusność rozumowaniu Zygmunta.

— Tak, ciągnął dalej Zygmunt, ile jest ludzi na świecie, ile istot, tyle rodzajów miłości, nader niepodobnych do siebie. Wyższe organizacje mogą uczuć prawdziwą miłość tylko do podobnych sobie, i nie uwierzę nigdy iżby uczucie ludzi rozumnych było chłodniejsze od uczucia bezmyślnego gminu. A prawda ta stosuje się oczywiście do płci obojg. Czyż pani możesz sobie inaczej wyobrazić ową harmonią dusz, najwyższe, jedyne dobro na ziemi?..

— Zdaje mi się że ta harmonia leży głównie we wrodzonych darach uczucia, woli i rozumu, nie zaś w stopniu wykształcenia.

— Tak, ale wyobraźmy sobie, że pani ktoś ofiaruje dyament, pod warunkiem, ażeby na wieki pozostał nieoszlifowany ze skorupy która go okrywa; czyliż dar taki miałby wartość rzeczywistą?

— Ale dyamentowy umysł, że użyję pańskiego porównania, sam się szlifuje w zetknięciu ze światem przez który śmiało się przedzięra; ręka szlifierza wprowadziaby przyspieszyła chwilę jego blasku, ale nie jest nieodzowną.

— Odeszliśmy od przedmiotu. Mnie nie idzie o sposób w jaki nabiera kto wartości; twierdzą tylko że umysły silnie rozwinięte czują też silniej od innych, że w nich uczucie na równi stoi z rozumem. Stwórca byłby niesprawiedliwym, skazując je na osamotnienie i chłód, nakształt owych śnieżystych alpejskich szczytów. Pani naprzykład, zdobna we wszystkie przymioty wyższej duszy, nie czujesz-że w sobie skarbów uczucia, zdolności i potrzeby ukochania, uszczęśliwienia kogoś?

Ewa zapłoniła się zmieszana tym zapytaniem, a Zygmunt mówił dalej:

— Zuchwałe rzuciłem pytanie, ale przyjaźń jest niedyskretna, a miłość jeszcze bardziej. Tak pani, myśl ta nie opuszcza mnie nigdy, iż dusze nasze dla siebie stworzone. Ewo, czym się omylił?

Wstrząśnięta niespodzianem wyznaniem, Ewa milczała przez chwilę, pochyliwszy zarumienione lica.

— Ewo, zawołał Zygmunt, o błagam cię, powiedz żem się nie omylił!

Ewa podała mu rękę, którą Zygmunt podniósł do ust z zapalem i gorąciami okrył pocałunkami.

XII.

W kilka dni po owym pamiętnym sam na sam z Zygmuntem, Ewa upatrzyła swobodną chwilę i z kościoła po nabożeństwie, wpadła na pół godziny do domu, aby uwiadomić matkę i siostrę o swoim szczęściu. Można sobie wyobrazić radość ubo-

gięj rodziny. Matka dziękowała Bogu, że nagroził poświęcenie jej dobrej córki; stanął jej na myśli dawny dostatni byt obywatelski i powrót z upadku do stanowiska odpowiedniego. Jadwinia wpadła w szal wesołości. Pełna czci dla siostry swojej, widziała w tém słuszne tylko uznanie wysokich przymiotów jakie ją zdobyły. Wypytywała się Ewy o Zygmunta: jak wygląda, jakie ma włosy, oczy, jak mówi i jak się kłania, bo w tym wieku imaginacja potrzebuje zaspokojenia.

Po krótkiej tej wizycie upłynęły dwa tygodnie, zanim Ewa zjawiła się znów w ubogim mieszkaniu na Piwnej ulicy. Powitano ją czule, ale z pewną niespokojnością, wypytując o przyczynę tak długiej niebytności.

— Więcie jak trudno mi oderwać się od moich obowiązków, odrzekła, a przytém egzamina zajęły mi dużo czasu. Załatwiłam wreszcie tę nudną sprawę.

— To dobrze, pragnęłam żebyś w każdym razie dokończyła tego, coś raz przedsięwzięła, choć ci się patent już zapewne na nic nie przyda, powiedziała matka.

— Tak, sądziłam że to trzeba spełnić, tém bardziej że już dzień był wyznaczony.

— I dobrze ci wszystko poszło?

— Lepiej niż się spodziewałam; wistocie, nie było się czego obawiać.

— Ach, jakbym się bardzo bała, umarłabym ze strachu, a przynajmniej nie potrafiłabym ust otworzyć, rzekła Jadwinia.

— Cóż, nie powiesz mi nic o swoim narzeczonym? zapytała matka.

— Zawsze dla mnie taki dobry, troskliwy, czuły, kochający, jak w pierwszej chwili, jak od pierwszego poznania się naszego.

— No, a w przedmiocie ślubu co ci on zapowiada?

— Mówi że ma wielkie trudności, że musi powoli przygotować rodzinę, która rozumie się bardzo będzie niechętną temu wyborowi; że musi urządzić swoje interesy, bo choć duży ma majątek, ale źle prowadzony i obdłużony.

— To tak zawsze u tych wielkich panów. No, a ciotka, cóż na to wszystko powiada, bardzo się dąsa?

— Hrabina o niczym jeszcze nie wie. Z nią także trudna będzie sprawa, rzekła Ewa, spuszczając oczy.

— To niedobrze, moja duszko, to bardzo niedobrze. Skryte romansowanie uwłacza pannie dobrze wychowanej; a zresztą stajesz się winną względem hrabiny, gdy wszedłszy w jej dom do obowiązku, tajemnie romansujesz z jej siostrzeńcem.

— Ja to czuję i mocno się tém martwię; ale Zygmunt błaga mnie na wszystko, żeby jeszcze czas jakiś milczeć. On sam bierze na siebie ułożenie wszystkiego.

— Hm, nie podoba mi się to wcale. Powinnaś mu przedstawić w jakie cię przez to wtrąca położenie; to uwłacza twemu charakterowi.

Ewa milczała zasmucona.

— No a tu nie wybiera się czasem? Myśmy obawiały się żeby nie wpadł niespodzianie. Przez cały tydzień porządkowałyśmy dom; patrz, ściany poobmiotane, powycierane chlebem, okna pomyte i podłoga także. Nie spostrzegłaś nawet że kanapka nową pokryta materją. Jadwinia sama poobijała ćwieczkami; tapicer lepiejby nie potrafił.

— Takem sobie palce nazbijała, a to wszystko dla twego niedobrego Zygmunta, który nie przyszedł, rzekła Jadwinia.

Ewa oglądała kanapkę, chwaliła robotę, ale była roztargniona. Słowa matki mocno jej utkwily w umyśle.

— On powiada, że przyjdzie tu, że się wybierzemy razem, tylko zawsze wypada jakaś przeszkoda.

Nastąpiło przykre milczenie. Po chwili rzekła matka:

— Ja ci powiem co zrobić. Kończy się kwartał twego pobytu u hrabiny; stosunek twój z nią i tak nie jest bardzo przyjemny; najlepiej więc że powrócisz do domu, a on przecie i tu może się z tobą widywać.

— Myślałam i o tém, nawet mu to projektowałam; ale on prosi na wszystko, żebym jeszcze została

u hrabiny, mówi że to mnie zbliży z familią, że nauca się mnie lepiej cenić.

Znowu nastąpiło milczenie. Matka obawiała się iżby zbyt surowymi wymaganiami nie zagroziła losu kochanej Ewuni, ale niekontenta była z całego obrotu rzeczy. Odchodzącą błagała, żeby w rozmowie z Zygmuntem starała się przekonać go o konieczności wycofania się z takiego położenia, a Ewa tém chętniej słuchała rad matki, że sama od początku czuła dobrze obowiązek jawnego postępowania z hrabiną i tylko uległa wyraźnej woli Zygmunta. Hrabina zdawała się spostrzegać, iż stosunek Zygmunta do Ewy jest czémś więcej jak przelotnym umizgiem do biednej dziewczyny. Zaczynała ją to niepokoić; Ewa stała się dla niej niewygodną domownicą; dość wyraźnie więc dawała jej do zrozumienia, że najlepiej będzie, gdy z końcem miesiąca wróci do matki.

Zygmunt szukał ciągle sposobności przestawiania ze swoją ukochaną; wynajdywał coraz nowe pozory do wyjazd, woził hrabinę z jej towarzyszką w odległe ustronia, gdzie łatwo znajdował sposobność rozmawiania z Ewą; ale chwile te szczęścia były krótkie, a godziny udręceń bardzo długie.

Jak zwykle w podobnych razach, całe to udręczenie wynikało ztąd, że Zygmunt sam nie wiedział co począć. Widzieć Ewę i kochać ją, stało się już dla niego potrzebą życia. Z drugiej jednak strony, oprócz przewidywanego oporu rodziny, i własny jego rozum nieraz w opozycję występował.

On, pełen ambicji, po ubitym trakcie dostojeństw i bogactw pędzący młodzieńcem, miał teraz ogłosić własną abdykacją i schylić głowę pod szyderstwa; zerwać z wielkim światem, w którym ojcowie i matki dorosłych córek czasem z zapomnieniem nawet własnej godności o jego przyjaźń się starali, w którym rówieśnicy poglądali na niego ze czcią, jak na kolumnę o którą w każdym razie oprzeć się można. Zdawało mu się że słyszał już wieść stujeczyczną, głoszącą że się żeni ze szwaczką, guwernantką, czy panną służącą; słyszał sardoniczne uwagi mężczyzn, złośliwe wypytywania kobiet, piorunujący gniew ojca, i w głowie mu się kręciło.

Powiedzieć ciotce? od tego zacząć wypadało; ależ ona tej chwili wygna Ewę z domu. Wypadało więc iść na Piwną ulicę i złożyć matce wizytę. Ale Zygmunt czuł, że ta wizyta mocniej go zobowiąże, że to będzie coś naksztalt przejścia Rubikonu... i ciągle zwłóczył. A prócz tego dziwny go dreszcz przejmował na samo nazwisko Piwnej ulicy. Jemu, wychowawcowi salonów, trzeba będzie pójść na tę okropną ulicę, którą znał tylko ze słyszenia, do okropnego domu, po okropnych schodach, brudnych i ciemnych, na trzecie piętro, do jakiejś ciasnej stancyjki i tam grać rolę uszczęśliwionego i wdzięcznego syna, całować rękę, która może tylko co miotnę w kąć postawiła. Wysoko estetyczne usposobienie Zygmunta wzdrygało się na samą myśl o tych strasznych formalnościach; pragnął nieraz żeby się cała ulica Piwna w ziemię zapadła.

Widziemy jak gorączkowy był nastrój Zygmunta; ale darujmy mu te myśli. Był rzeczywicie między młotem a kowadłem. A zresztą, czyż można brać za złe mocno rozwinięte estetyczne usposobienie? Do tego dążą pedagogowie, a Zygmunt miał dobrych pedagogów.

Tymczasem Piwna ulica ani myślała zapadać się w ziemię, a nadmiar biedy zjechał do Warszawy ojciec Zygmunta, w towarzystwie kilku blizkich krewnych. Musiał z nimi po całych dniach przebywać, wspólnie oddawać wizyty, spowiadać się ze swoich dotychczasowych działań na polu zalotów i rozwijać dalsze plany. Wkrótce spostrzegli, że ma zwichnięte skrzydła, że wzgardził wszystkimi kandydatkami, że, jednem słowem, nic nie zrobione i nie ma się na lepiej. Raz nawet Zygmunt odważył się coś przebąkiwać o cichém szczęściu domowém, którego się nie kupuje złotem, o błogosławionej mierności, o złej zasadzie ekonomicznej *dorabiania* się majątku i pozycyi w świecie tylko za pomocą bogatego ożenku.

Wzięto Zygmunta na fundusz z tego powodu, ale ojciec zamyslił się: powziął mocne podejrzenie, że syn jego kryje jakąś namiętność niegodną jego wysokości pozycyi. Czyżby tyle lat starannej i kosztownej edukacji, tyle nadziei miało się obrócić w marnę? Potrzeba było zręcznie starać się wybić z głowy Zy-

gmuntowi tego ćwieka, i po namyśle, troskliwy ojciec natychmiast przystąpił do dzieła.

Przedewszystkiém należało Zygmunta ze sfery marzeń sprowadzić do rzeczywistości, cyframi uderzyć go w głowę. Właśnie pora świętojańska doskonale do tego się nadawała. Bardzo było naturalną rzeczą, że stary, zostawszy w hotelu sam na sam z synem, zaczął mu opowiadać o swoich interesach. Trochę zacarnych dobięrał kolorów, ale nie potrzebował wiele przesadzać, bo wistocie dość krucho z niemi było. Tytuł pana, właściciela rozległych włości, członka sześciu czy siedmiu komitetów obywatelskich, zobowiązywał go do życia na wielką skalę; dwie córki dorosłe stanowiły także powód do podtrzymywania wysokiego tonu, zwłaszcza że o jedną starał się majątny panicz. Tym sposobem stary Orzelski już od lat wielu, bo od czasu wyjazdu Zygmunta na uniwersytet, nie mógł wyjść na czysto, a bilans roczny ciągle okazywał deficyt. Gospodarstwo szło lichy; kilku rządzców jednego po drugim musiał zmienić, z powodu iż zagrubo kradli, a że jeszcze ojciec przekazał mu w dziedzictwie maksimum: na dużych dobrach, duże długi, więc zamożność jego była tylko pozorna.

— Powinieneś, kończył Orzelski, jako młody, silny umysłem i ciałem, wymyślić sposób i uratować majątek, którego część na ciebie przypada, jeżeli nie chcesz żebyśmy wszyscy z torbami poszli. Wszak uczyłeś się tyle; cóż radzisz?

— Zmniejszyć wydatki, a powiększyć dochody, rzekł Zygmunt, po chwili milczenia.

— Ba, krzyknął stary, nie gadaj mi andronów. Czy myślisz że przyjechałem do ciebie po lekcję ekonomiki? Jeżeli teraz w Warszawie pieniędzy nie dostanę, to narażę się na bardzo kompromitujący proces.

Cóż miał Zygmunt na to ojcowi powiedzieć? że dla kochanka i kochanki dosyć domku pustelnika?

— Czy bogaty jest ten konkurent do Leokadyi? zapytał.

— Bogaty, trochę domorosły, ale szlachecka krew. Zawsze on jednak zażąda posagu nie na żarty, i wyprawa niemało będzie kosztować. Ale wiesz Zygmunie, możebyś ty dał pokój Warszawie, a wrócił na wieś; tambyś sobie co upatrył. Poznasz i konkurenta Leotki. Tu cię pobyt ogromnie podrywa.

Zygmunt czuł słusność tego co ojciec mówił. Nie mógł nic zarzucić; był zgnębiony do bezwładności swoim położeniem.

— Tak oczywiście, wyjadę, trzeba mi wyjechać, rzekł zbierając się jak mógł na siły.

— Bo ty jak gdybyś miał coś na sercu, taki się stałeś milczący, smutny, zamyślony; pomizerniałeś nawet.

— Drogi ojcze, nie omyliłeś się, rzekł Zygmunt, czując potrzebę wywnętrzenia się. Wistocie mam wielki ciężar na sercu. Poznałem pannę pod każdym względem odpowiadającą moim wyobrażeniom, pełną wdzięku, rozumu i ukształcenia, pokochałem ją i zyskałem wzajemność; ale niestety, jest to zupełnie uboga dziewczyna.

Stary Orzelski podskoczył na kanapie.

— I tobie takie dzieciństwa w głowie! zawołał oburzony. Miałem cię zawsze za praktycznego człowieka.

— Czuję, widzę jasno trudność wybrnięcia z kłopotów majątkowych, pojmuję ilebym stracił w dalszej karierze skrupowaniem się tym związkiem, a nie mam siły zrzec się tej miłości.

— I któż to taki?

Zygmunt opowiedział pokrótce poznanie się swoje z Ewą.

— Że to ciotka Skalicka pozwoliła pod swoim okiem rozwinąć się podobnemu głupstwu! Ale niedziw, to bardzo ograniczona kobieta. Mój kochany, kochać się to inna rzecz, a żenić inna; żenią się ludzie na całe życie. Piękność prędko przemija, a stanowisko swoje trzeba utrzymywać na świecie, nawet je podnosić. Żle że ci romanse w głowie, w latach kiedy już się żenić potrzeba.

Zygmunt w duchu stanowczo potępiał materyalistyczne i niepostępowe poglądy ojca, ale na rezultaty się zgodził.

— Ojciec to źle tłumaczy, zbyt prozaicznie rzeczy bierze, mówił sam do siebie. Brak pieniędzy, zły stan

interesów jest przypadkowym zawikłaniem, fatalnością; gdyby nie to, ani chwili nie wahałbym się stanąć z Ewą przed ołtarzem. Gdybym był bogaczem, z prawdziwą przyjemnością upokorzyłbym te wszystkie posażne gąski, które teraz uważają mnie jako odpowiedniego dla siebie konkurenta; ale w takim położeniu jeżeli wezmę biedną dziewczynę, to dam tylko powód do żartów z siebie.

Zaczęły się przekładania, prośby, upominania, odwołanie się do świetnych w przyszłości widoków, reorganizacji gospodarstwa własnego i krajowego, znaczenia w obywatelstwie, możnych koligacji i t. p. Nadszedł w końcu stryjeczny brat starego Orzelskiego i wzięto Zygmunta we dwa ognie. On nie przeżył niczemu, znał na palcach wszystkie te względy i pewno by je lepiej potrafił wyłuszczyć, niż dwaj starzy, ale nie wiedział co czynić.

— Dziś nie mogę nic postanowić, zakończył. Odjadę na wieś na czas jakiś, a potem... zobaczę.

Starym i tego dość było; spodziewali się wiele od zmiany powietrza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rozmaitości.

Pierwsze publiczne odczyty w Warszawie.

Świeżo odkryte w XVIII wieku zjawiska elektryczne i magnetyczne, zajmowały uwagę publiczną w całej Europie, a więc i w Warszawie. Naśladowano w tém Paryż, gdzie Mesmer ze swoją wanianką zawracał głowy profanom i uczonym.

Prawda że nie spotykamy śladów, aby ta dziwna mania przeniosła się na stałe do nas, ale mimo to zainteresowanie się przedmiotami fizycznymi w Warszawie było bardzo wielkie i trwało nawet dość długo, uważając na niestałość mody, a wyrażało się licznymi prelekcjami o fizyce.

Główny interes budziła szczególnie elektryczność, którą starano się już wtedy zastosować do leczenia wszystkich chorób. Spotykamy nawet opisy licznych prób, z których najpomyślniejszym skutkiem uwiecznione były czynione na paralitykach. W ogóle około r. 1770 elektryzowano się w Warszawie na potęgę. Posuwano nawet tę manię do tego stopnia, iż jakiś panicz kazał elektryzować swego konia paralizem tkniętego i skutek miał być zadziwiający.

Przewodnikiem najczynniejszym tych prób był jezuita ksiądz Jan Koc, autor Fizyki drukowanej w Warszawie 1783 r., wykładający ten przedmiot najprzód w kolegium na Starém mieście, a po zniesieniu zakonu profesor fizyki po rozmaitych szkołach, zostających pod zarządem komisji edukacyjnej.

Był to wielki oryginał i zapalony miłośnik doświadczeń fizycznych. Widziano go też wszędzie czynnym, gdzie tylko się odbywały elektryczno-magnetyczne doświadczenia, w których albo sam brał udział, albo innym dopomagał.

Spółzawodnikiem jego i niemniej czynnym był znany w literaturze w XVIII wieku ksiądz pijar Józef Herman Osiński, który wysłany przez zgromadzenie do Wiednia i Paryża, wykształcił się w fizyce i chemii, a za powrotem do kraju z chlubą przez lat kilkanaście wykładał te nauki w konwiktach warszawskim, wslawiwszy imię swoje przez czynione doświadczenia, przedtem w kraju nieznanne.

On to pierwszy uorganizował w Warszawie publiczne odczyty, które już w r. 1779 urządził w sali pijarów, i dawał lekcje fizyki eksperymentalnej, poparte doświadczeniami, przy pomocy najnowszych ówczesnych narzędzi. Wstęp dozwolony był za biuletami, wydawanymi znakomitym osobom płci obojczy bezpłatnie.

Odbywały się te lekcje także w teatrze, a snadź przypadły do gustu publiczności, skoro szanowny fizyk otworzył je znowu w r. 1781 w maju, w sali teatralnej na placu Krasińskich. Wstęp dozwolony był wtedy wszystkim za opłatą, a doświadczenia czyniono o ile możliwości najwspaniałej. W r. 1782 przeniósł się Osiński z teatru do sali Collegium Nobilium przy ulicy Miodowej, tam gdzie teraz jest sąd apelacyjny.

Wszystkie odczyty mięwał po francuzku, osądziwszy iż lepiej wykładać fizykę i chemię w języku powszechnie przyjętym i naukowo wyrobionym, aniżeli

w polskim wynajdywać do nich wyrazy terminologiczne, które musiałyby być nowe, na co jeszcze ksiądz Osiński nie odważył się. Dzieła jednak drukował po polsku, a jego „Fizyka doświadczeniami stwierdzona,“ wydana 1777 r., jest pierwszą u nas pracą w tym przedmiocie.

Wprowadzone w modę odczyty publiczne francuzkie, niebawem zwabiły do nas i cudzoziemców, którzy korzystać z niej nie zaniedbali. W kilka lat po ks. Osińskim przybyli do Warszawy z Paryża pp. Berthe i Tambour i zaczęli wykładać w języku francuzkim, przy natłoczonej sali, kurs pobieżny fizyki i chemii doświadczałnej, nauki tak naówczas jeszcze młodej. Lecz dyletanci paryscy kazali sobie za te kursa dobrze płacić i płacono też bez szemrania, choć gdyby to uczynił krajowiec, nie obeszłoby się bez licznych komentarzy. Toż samo powtórzyło się w r. 1798, a niejaki De Gabriel ostatni raz wykładał mały kurs fizyki w salach reutowych.

Za rządu pruskiego próbowano u nas odczytów niemieckich w tychże samych przedmiotach, w którym to celu w r. 1804 przybył z Berlina doktor Lemos i wykładał kurs fizyki i chemii w pałacu dziś rządowym przy ulicy Miodowej (zwanym arcybiskupów). Opatrzony w dobre narzędzia, okazywał także niektóre doświadczenia chemiczne w ogrodzie tegoż pałacu i miał bardzo licznych słuchaczy. Odtąd nikną ślady publicznych odczytów w Warszawie, aż do wskrzeszenia ich w naszych czasach.

NIESMIAŁY.

Komedia w jednym akcie.

Według Edwarda Paillerona: *Mur mitoyen,*

ulożył wierszem

Kaźmirz Kaszewski.

(Dalszy ciąg.)

Scena 12.

KLARA, ZDZISŁAW, wchodzi żwawo.

ZDZISŁAW (na stronie).

Ona powiada

Że mnie nie kocha wcale i drwi sobie ze mnie; To i ja też ję powiem, że nie jest kochana, Ocalę honor.

KLARA, spostrzegłszy Zdzisława, biegnie do niego.

To pan? dobrze! Kocham pana!

ZDZISŁAW, zapęrzony.

Co... jakto?...

KLARA.

A że i pan kochasz mnie wzajemnie, Więc zgoda między nami.

ZDZISŁAW, na stronie.

Znów się ze mnie śmieje, Lecz ja trzymam się ostro, bo tego zawiele.

KLARA.

Pragnąłeś pan mój ręki, a więc miej nadzieję...

ZDZISŁAW.

Pani... ja... to jest ojciec...

KLARA.

Oświadczy mu pan śmieie, Że jesteś...

(z bolesnym westchnieniem)

pełnoletni i bądź silny wola,

Gdy się nad tobą burze ojcowskie rozpostrą.

ZDZISŁAW, na stronie.

Zanadto drwin... zanadto; lecz trzymam się ostro!

(głośno)

O pani, twoje żarty dotkliwie mnie boją; Wszak pani mnie nie kochasz, mówiłaś to sama Przed chwilą, na tém miejscu, świadkiem tego mama. Więc kiedy kto nie kocha... to jest gdy kto kocha...

(na stronie)

Znowu się pogmatwałem... to dziewczyna płocha.

KLARA.

Jakto, nie kocham pana? Właśnie moja matka Sama mówiła panu jeszcze dzisiaj zrana...

ZDZISŁAW, na stronie.

Nie wiem, czy się utrzymam ostro do ostatka.

KLARA, w dalszym ciągu.

Że kocham, i że z chęcią będę żoną pana.

ZDZISŁAW.

Pani, gorzka ironia w każdym twoim słowie.

KLARA

Nie wierzysz pan; ot mama, ona panu powie.

Scena 13.

CIŻ, TURKALSKA.

TURKALSKA, zapęrzona, wchodzi z papierem w ręku, czytając. — „Znowu idziemy w górę; sprawa w pół wygrana.“

(mówi)

Co ty robisz tu, Klaro?

(do Zdzisława)

Bardzo proszę pana

Nie rozmawiać z mą córką... pan masz złe zamiary.

ZDZISŁAW.

Ja?...

KLARA.

Mamo! ależ...

TURKALSKA.

Proszę tutaj panny Klary.

(odciąga ją poza siebie)

(na stronie)

Dzięki wzdraganiom ojca, mam pretekst wyborny Odmówić jemu córki, choć wygram mur sporny.

(do Klary czule)

We mnie, kochana córko, miej ufność jedynie; Ja zawsze twym życzeniem zadosyć uczynię. O twe szczęście dbam więcęj, jak o własne życie. Namysłam się ja nad tém od samego rana I widzę, że nie będzie wcale przyzwocie, Gdybyś ty miała zamąż wyjść

(z naciskiem)

za tego pana.

ZDZISŁAW.

Jakto?...

TURKALSKA.

Wszak pan słyzałeś dobrze od niej samęj, Że cię nie może cierpieć.

ZDZISŁAW.

Co?

KLARA.

Nie, proszę mamy,

Ja go kocham.

TURKALSKA.

Szlachetne kłamstwo, moja Klaro.

ZDZISŁAW.

Kłamstwo?

KLARA.

Bynajmniej.

TURKALSKA.

Wreszcie ten pan jest niezdarą.

ZDZISŁAW.

O!...

KLARA.

Ależ mam!

TURKALSKA.

Brzydki. Przypatrz mu się sama.

KLARA.

Ależ...

TURKALSKA.

To twoje zdanie.

ZDZISŁAW.

Tak?...

KLARA, cicho do matki.

Eh, co też mama...

On wszystko słyszy.

TURKALSKA.

Usta rozdziawia szeroko.

ZDZISŁAW.

O!

KLARA.

Mamo!..

TURKALSKA.

I ma jedno zęzowate oko.

KLARA.

Zkądżeż...

TURKALSKA.

Mówiłaś sama...

ZDZISŁAW.

O!

KLARA.

Mamo kochana!...

TURKALSKA.

A nos! to już okropność, jak dziób pelikana.

ZDZISŁAW, na stronie z oburzeniem.

Więc te jęj oświadczenia, to są czyste drwiny!

TURKALSKA.

Ja przymusem nie wydam zamąż mój jedynęj.

O!
Ależ, mammo...
Wydają się świetnymi, ale tylko w słowie,
Nie w czynach; więcej blichtru tam, niżeli treści.
A jeśli mi nie wierzysz, to czytaj powieści.
Jednak...
Nie, moje dziecko!
Lecz...
Nie chcę ofiary.
Ja ciebie nie poświęcę!
O!
Gdyby...
Pójdź!
Męka
Doprawdy! On mi teraz w niczym nie da wiary.
Już ich nazawsze moja rozdzieliła ręka.
Zegnaj pana.
Pójdź, Klaro.
Trzeba zejść ztąd roztropnie, nim nadejdzie stary.
Chytrność tego człowieka jest taka zuchwała,
Że gotów chcieć bym znowu ten akt podpisała;
Ale ja nie podpiszę i nie stracę grosza.
Gmatwacz to zuch nielada!
(Klara ociąga się i zatrzymuje matkę, rozmawiając z nią pocięchu, w chwili gdy nadchodzi Lubicz.)

Scena 14.
Ciż i LUBICZ z papierem w ręku.
O! zły-m na Krętosza!
Pisze znów, że przegrywam!
Ej, pleciesz mi baśnie.
Pani...
Panie...
Do licha!
Szukam pani właśnie.
Doprawdy?
Tak. Przyszedłem podpisać akt zgody.
Kiedy bowiem zważymy racje i powody,
Ważność odmowy panny bardzo się umniejsza;
A że Zdzisław ją kocha, to punkt najważniejszy.
Gdyby on jęj nie kochał, to rzecz inna wcale.
Lecz on, słyszałaś pani, jest w prawdziwym szale.
Przecież...
Wszak córka pani nie jest panna płocha,
Pójdzie zamąż, nawykniesz... a później pokocha.
Jednak...
Nie ustępuję.
Dobrze... ależ Klara...
Syn mój stworzyć jęj szczęście pewnie się postara.

Dobra sposobność!
Kochasz tę pannę, prawda?
I nie kocham.
Hej?
Nieba!
To nieprawda!
Przecie
Jam go nie namawiała.
On przez bojaźń plecie.
Jak pan chcesz sobie tłumaczyć, ale trudna sprawa.
Zdzisław nie kocha Klary, a Klara Zdzisława.
Raz już to powiedziała, powtórzy toż samo.
Dobra sposobność!
Owszem, ja go kocham, mammo!
Hej!
Aha!
To nieprawda!
Zaprzeczyła pani.
Mamże ją nienawidzić, czy przepadać dla niej?
Sama pani słyszałaś.
Ale o to mniejsza
Czy ona tak, czy owak mówi, boć to dziecię;
Niewarto słuchać, sam pan tak mówiłeś przecie.
Lecz, iżby syn ją kochał, to rzecz najważniejsza;
A tymczasem pan Zdzisław nie kocha jęj wcale.
Ja sam już nie wiem.
Ależ...
Czuję doskonale,
Że to i dla nas będzie niemałe zmartwienie.
Ja tak zgodę i związek z domem pańskim cenię,
I chociaż córka moja nie z takiego stanu...
Mniejsza, ja dałem słowo...
Więc je zwracam panu.
Smutna odchodzę po tój bolesnej nauce.
Ale cóż na to począć?
Pójdźmy!
Ja tu wrócę.

Scena 15.
Ta zwiija chorągiewkę, ten się znowu chwieje.
Tu się jednak do diabła coś dziwnego dzieje.
Zbliż się tu.
Jestem, ojczu.
Dziwne, dziwne rzeczy!
Ona zdaje się twierdzić, a matka jęj przeczy.
Mamże rozpaczać, czy też cieszyć się nadzieją?

Powiedz-no mi, mosanie, jaką to kolejną
Ty pozwoliłeś sobie nie kochać panienki,
Która tak jest zamożną w posag i we wdzięki?
Więc darmo wszystkie moje starania i trudy?
Kocham ją bardzo.
Czemuż ten osioł tego nie powiedział wprzód?
Dlaczegoż zaprzeczałeś?
W niepewności... błąd...
O nowém zajściu w sądzie, dla mnie tak niemiłem.
Chłopak karny, nie chciał się kochać bez rozkazu.
Więc ją kochasz?
O, kocham!
Nie powiedział. A piękna, prawda? Nosek zgrabny.
Sliczny.
Oczki urocze.
Nietylko piękna ciałem, ma i piękną duszę.
Cóż wielkiego że dziad jęj robił kapelusze?
Praca nie hańbi: trzeba iść z postępem wieku
I wszystko co szanowne, szanować w człowieku.
A wreszcie dałem słowo, dotrzymać wypada,
Słowo rękojmią cnoty: to moja zasada.
Krzyccy nie są dla ciebie, rzecz zważywszy ściśle;
Przekonałem się o tём po świeżym namyśle.
Majątek zaszargany, panna już nie młoda,
Dla chłopca w twoim wieku... szkoda mi cię, szkoda!
Klara, to ale; świeża, z nadobnym obliczem,
Więc ona będzie twoją, jak jestem Lubiczem.

Scena 16.
Dobry syn czci rodzica; nie zapomnij o tём.
Pójdę do matki.
W samę porę nadchodzi.

Ah, ojczu!
Wolno, wolno, nie z takim łoskotem!
Pójdę do matki.
W samę porę nadchodzi.
Panno Klaro, czy chcesz pójść za mego Zdzisława?
Ależ, panie...
To dobrze! Ze mną krótka sprawa.
Kochacie się. No, dalej, ty zimny człowieku!
Gdybym ja był w twém miejscu, albo w twoim wieku...
Łączę was, dzieci!
Pani, teraz się policzem:
Podpiszesz ty akt, chyba nie byłbym Lubiczem.